Rok XIII. Nr. 2.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał II.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1907.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1907 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — XX. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Z podróży wizytacyjnej ks. Wizytatora w Ameryce.

W Południowej Ameryce obchodzi nas szczególniej kraj, do którego poszli tułający się po całej ziemi Polacy, a za nimi podążyli nasi Konfratrzy, Misyonarze — Brazylia. Jest to kraj, mogący mieć pretensye mierzenia się co do obszaru niemal z całą Europą, bo mający blisko $8\frac{1}{2}$ miliona km.^{2}.

Na tych zaś olbrzymich obszarach żyje zaledwie 19 milionów mieszkańców. Na przestrzeni przeszło sto razy większej od Galicyi jest mieszkańców tylko półtrzecia razy więcej. Gdyby więc Galicya była zaludniona w tym stosunku co Brazylia, powinnaby liczyć mniej więcej tyle mieszkańców, co sam Lwów. Jest to kraj bardzo od natury uposażony. Ziemia doskonała, pokryta jest bujną roślinnością, a kryje w sobie ogromne bogactwa mineralne. Obszerny i bogaty ten kraj nie ma jednak dostatecznej ludności. Pierwotnie zamieszkiwali go nieliczni Indyanie; z początkiem w. XVI. odkryli Brazylię Portugalczycy i poczęli ją kolonizować. Zaczęły się rozwijać na brzegach morskich miasta, a w nich stawały kościoły, bo z Portugalczykami zawitała tutaj i wiara katolicka. Portugalczycy poczęli się łączyć z Indyanami w związki małżeńskie i stąd pochodzą t. zw. Kabokrzy. Z Indyan zaś właściwych zostało niewielu. Liczni są także murzyni, których z Afryki przewozili tutaj Portugalczycy jako niewolną siłę roboczą — dziś są to już wolni obywatele i po większej części, zwłaszcza w północnej Brazylii, dobrzy katolicy. Kolonią portugalską była Brazylia aż do r. 1822, w którym wybiła się na wolność i utworzyła cesarstwo pod panowaniem Don Pedra z familii portugalskiej. Ale już w roku 1889. niespokojni Brazylianie

ogłosili republikę, a cesarza Don Pedra II. wsadzili na okręt i odesłali do Europy. Obecnie na wzór Ameryki Północnej stanowią związek Stanów Zjednoczonych Ameryki Południowej z centralnym rządem w Rio de Janeiro, a każdy z 21 stanów ma swego prezydenta. Za cesarstwa myślano poważnie i uczciwie o rozwoju tego kraju. Pierwszym warunkiem do podniesienia go był rozwój przemysłu, a do tego potrzeba ludności. Około r. 1870. poczęto więc sprowadzać gromadnie ludność z Europy i osiedlać ją na ogromnych obszarach. Emigrantów tych przewożono darmo, przygotowywano dla nich obszerne baraki, gdzie ich na koszt państwa żywiono a potem rozsiedlano na ogromnych obszarach, uwzględniając, o ile możności, ich życzenia co do wyboru okolicy. Rozmaite były warunki, na których ich osiedlano. Pod warunkiem spłacenia rządowi w 6 latach 300 milreisów t. j. nie całe 500 koron dawano każdemu kompleks gruntu (t.zw. szaker), wynoszący 250·000 m.^{2} (około 80 morgów), będący niewykarczowanym lasem, na nim domek drewniany i niezbędne narzędzia gospodarcze. — Liczne tłumy ludności emigrowały z Europy do Brazylii w ostatnich 30 latach. Ruch ten emigracyjny porwał i naszych Polaków. Biedni, zwłaszcza wyrobnicy i służba, nęceni nadzieją, że staną się panami na 80 morgowem gospodarstwie, tłumnie spieszyli do Brazylii. Dzisiaj liczą tam Polaków około 80.000. Najwięcej kierowała się ta emigracya do Stanów południowych t. j. Sao Paulo, Parana, Santa Catharina i Rio Grande do Sul. Plantacye wielkie kawy w stanie Sao Paulo nęciły tych, którzy lubią chwilowy, lżejszy i wielki zarobek. Osiedlili się więc tutaj najwięcej Włosi. Santa Catharina i Parana nęciła najbardziej kochających pracę na roli Polaków i po części Niemców. Ponieważ jednak klimat, zbyt gorący w Santa Catharina, był dla Polaków nieznośny, więc poprzenosili się prawie wszyscy do Parany, w której też obecnie prawie wyłącznie jako żywioł napływowy kolonie objęli. Nadaje się też ona dla nich znakomicie. Klimat tam umiarkowańszy, udają się prawie wszystkie europejskie produkta, a więc dla rolnika-Polaka to ziemia obiecana. Pro-

wincya ta o obszarze około 240.000 km.^{2} a więc 3 razy większa od Galicyi stanowi płasko-wyż. (oprócz wązkiego pasa nadmorskiego, nizko położonego), wyniesiony 1000 m. nad morzem. Osłonięty od upalnych okolic pasmami gór, ma klimat, choć strefy gorącej, ale bardzo umiarkowany i bardzo zdrowy. Na tych ogromnych przestrzeniach mieszka dzisiaj już po kolonizacyi zaledwie 400.000 ludności. Ogromne więc obszary gruntów leżały i dziś jeszcze leżą odłogiem. Największą część, bo przeszło $^3/_5$ wszystkich gruntów uprawnych, zajęły kolonie polskie, których jest obecnie do 50. Kolonie te to rodzaj wsi ogromnie rozległych, w których jedno zabudowanie od drugiego znacznie oddalone, gdyż każdy budował się na kompleksie ziemi, dla siebie przeznaczonej w oznaczonych liniach (ulice). We większych koloniach pobudowali kościoły, a choć z wielkim trudem, uzyskali i polskich księży, których w ostatnich latach było mniej więcej 10. Zrozumieć jednak łatwo, że potrzeby religijne nie mogły być dostatecznie zaopatrzone, gdy się rozważy, że odległość jednej kolonii od drugiej bardzo wielka, o parę dni drogi, a komunikacya jeszcze bardzo prymitywna. Zresztą księża ci bawili tu nieraz tylko tymczasowo. Biskup ze Sao Paulo, do którego Parama także aż do r. 1892. należała, niewiele się mógł zająć potrzebami religijnemi tak daleko rzuconych Polaków. W r. 1894. przybył do stolicy Parany na nowo utworzone biskupstwo, do którego należy Parana i Sta Catharina, gorliwy i zacny biskup, ks. Józef de Camargo Barros. Rozpatrzywszy się w stosunkach, poznał i uznał, że część najznaczniejszą, jeżeli nie co do liczby, to co do ducha jego dyecezyi, stanowią Polacy. Otoczył ich życzliwością i począł przemyśliwać o kapłanach, którzyby się gorliwie i skutecznie zajęli pieczą ich dusz. — Napisał do naszego Najczcigodniejszego O. Generała z prośbą o Misyonarzy polskich. O. Generał polecił tę sprawę naszej prowincyi. — Kiedyśmy musieli powiedzieć „Bóg tak chce“, postanowił Czcigodny ks. wizytator Kiedrowski spełnić życzenia wielu Konfratrów z prowincyi naszej, co do pracy tej misyjnej od dawna wzdychali. W r. 1903., 19. maja, pojechali

poza granice dotychczasowe naszej prowincyi pierwsi nasi Misyonarze: ks. Bolesław Bayer, ks. Hugo Dyla i ks. Chylaszek z bratem Aleksandrem Węgrzynem i oddawszy się po drodze w opiekę św. Wincentego u stóp jego relikwii w Paryżu, zaopatrzeni błogosławieństwem Najczcigod. O. Generała i pokrzepieni na duchu przez Matkę Najśw. w Lourdes, stanęli szczęśliwie na ziemi brazylijskiej 22. czerwca 1903 r. Ks. biskup oddał im zaraz w opiekę Polaków, należących do parafii w Thomaz-Coelho. W roku następnym na prośbę biskupa musiało pojechać znowu 2 Konfratrów: ks. ks. Sołtysik i Mięsopust, aby objąć kolonię Lucenę. W r. zaś 1906. z wiosną pojechało jeszcze 3 Misyonarzy: ks. ks. Kandora, Kominek i Dejewski i w tym samym roku w lecie objęli Konfratrzy pieczę nad Polakami w Prudentopolis. Wzywano nas równocześnie do objęcia Abranches, które poleciłem wziąć w opiekę prowizorycznie, zostawiając załatwienie definitywne tej sprawy do mego tamże przyjazdu. W 4 więc parafiach pracowali już w Paranie Konfratrzy, kiedy do nich jechałem — we wielu zaś innych koloniach pracowali na misyach, jak nam już o tem opowiadały „Roczniki“.

Tych więc Konfratrów, którzy tam w tej dalekiej krainie w tak odmiennych pracują warunkach, jechałem odwiedzić. Ponieważ zaś wskutek otwierającego się nowego posterunku w Abranches potrzeba było więcej pracowników, wybrał się ze mną z Ameryki Północnej ks. Kołodziej. We dwóch było nam już ochotniej jechać. Okręt „Zygmunt“, należący do kompanii niemieckiej Sloman Brazil-Line, która ma okręty, kursujące między Ameryką Północną i Brazylią, — to frachtowiec, obliczony na przewóz towarów, poczty a w dodatku i pasażerów. Okrętów wyłącznie pasażerskich, kursujących między Ameryką Północną a Brazylią niema dotychczas, bo ruch osobowy w tym kierunku nie jest tak znaczny, rozciągając się przeważnie na poprzek Oceanu, t. j. między Europą a Ameryką, a nie wzdłuż. Bo też ani jedna ani druga Ameryka nie ma do wysyłania ludzi, gdyż sama ich potrzebuje, ale w obfitości eksportuje towary. — Przyzwyczaiwszy się

przez kilka dni jazdy z Europy do Ameryki Północnej do takiego olbrzyma, jakim jest „Kronprinz Wilhelm“, przestraszyłem się trochę małego „Zygmunta“, który co do pojemności czwartą część prawie stanowi tamtego, ma bowiem tylko 4·500 ton. A jednak ten „mały“ Zygmunt na całomiesięczną podróż morską zabrał ze sobą 1300 ton węgla (około 130 wagonów) i tak je gdzieś w kącie swego kadłuba schował, że ani ich widać nie było; towarów wiózł tyle, że opłaty należało mu się za nie 120.000 mk., a składały się na to całe stosy szyn kolejowych, lokomobile, nieprzeliczone mnóstwo pak etc. Samej poczty t. j. listów itp. przesyłek wpakowano w niego w New-Yorku dwa olbrzymie wozy, koszta zaś tej poczty okrętem wynosiły 4.000 mk. Kiedy się zważy, że takich okrętów frachtowych i pocztowych kursuje mnóstwo w przerozmaitych kierunkach i każdy podobnie obładowany, można mieć wyobrażenie, jakito olbrzymi ruch jest w tem mrowisku ludzkiem, jakiem jest świat. — Załogę naszego „Zygmunta“ stanowiło około 40 ludzi, między nimi kapitan, 3 oficerów, maszynista i 2 jego asystentów, lekarz okrętowy etc. Wydatki wszystkie takiego okrętu w czasie jazdy, licząc pensye załogi, wynoszą dziennie 900 mk., a w tem 500 koszt węgli, które dziennie się spalą. Kiedy w Brazylii i Argentynie wyładuje się towary z Ameryki Północnej, to bierze się na ich miejsce przeszło 60.000 worków kawy, ażeby je zawieźć do Nowego Yorku. Choć więc nie tak „mały“ Zygmunt, skoro tyle w sobie mieści, jednak na niezmiernych przestrzeniach Oceanu wydawał się łupiną orzecha. Wstępując więc w taką łupinę, z której się niema zejść aż gdzieś za miesiąc, powtarza się ze szczególną gorącością serca: „Ave Maris stella“. Ponieważ zaś było po 10. godz. wieczór, kiedy „Zygmunt“ nasz podniósł kotwicę i odbił od brzegów Nowego Yorku, przypomniało mi się, że w Galicyi Ks. Ks. Misyonarze i Siostry Miłosierdzia już są na modlitwach porannych i podobno także opieki tej „Gwiazdy morza“ za nas wzywają; uczułem więc wdzięczność prawdziwą dla tych wszystkich, którzy się za mnie modlili. Myślałem sobie, że strasznie wyglądała burza, którą prze-

byłem na olbrzymim „Kronprinz Wilhelm“, ale jak złapie burza naszego Zygmunta, to już chyba jedynie w tych modlitwach otucha. — A jakieś przeczucie burzy się odzywało. Zaledwie wyjechaliśmy z głębi portu, zachwycając się miliardami świateł New-Yorku i nieprzeliczonych latarni, świecących z okrętów, rozsianych w zatoce, już po niecałej godzinie jazdy Zygmunt się zatrzymał, skręcił w bok ku brzegom Brooklyna i zarzucił kotwicę. Dowiedzieliśmy się, że nie pojedziemy dalej aż jutro rano, t. j. 31. października, bo Lozi t. j. kapitan pocztowy, wyprowadzający nasz okręt, boi się mgły*). Mówili wprawdzie zgniewani na to podróżni, że nie o mgłę chodzi, ale że Lozi chce się na okręcie spokojnie wyspać i dlatego okręt zatrzymał, dość, że mgła i niby jakaś burza miała nam grozić. — Spaliśmy wszyscy spokojnie i wygodnie. Wygodnie dlatego, że każdy miał osobną, wygodną kajutę, bo wszystkich podróżnych I. klasy było tylko 5-ciu. (w III. było około 20 emigrantów. II. niema). Rano ruszył okręt tak spokojnie i cicho, że nas i ze snu nie zbudził, a zbudziliśmy się, gdy już okręt był na pełnem morzu i nawet widok piramidalnych kamienic New-Yorku zniknął z horyzontu. — Pierwszy dzień na tym okręcie przeszedł na rozpatrywaniu się i zapoznawaniu się ze wszystkiem i wszystkimi. Spostrzegliśmy, że na tym okręcie będzie wygodniej niż na innych co do miejsca, ale zresztą pobyt zapowiadał się dosyć ciężki. Przestraszyliśmy się zwłaszcza, gdyśmy spostrzegli, że zapasy mięsa składają się ze samych prawie konserw z fabryki osławionego Trustu w Chicago, gdzie nawet padliny etc. przerabiano w konserwy. I rzeczywiście temi konserwami żyliśmy przeważnie całą drogę. — Pod wieczór zaciągnęło się niebo, a morze zaczęło się burzyć, wicher świstać. Wspaniale w grozie swojej wyglądało niebo. Cały ten olbrzymi baldach niebieski

---

*) W portach są specyalnie ćwiczeni i z morzem w zatoce dobrze oswojeni kapitanowie, zw. Lozi, którzy każdy okręt do portu wprowadzają i wyprowadzają na pełne morze za specyalną, dobrą oczywiście zapłatą. Kiedy oni obejmują kierownictwo okrętu, są na nim absolutnymi panami.

nad nami przemienił się powoli jakby w ołowiane kleszcze, co chwyciły gdzieś przy brzegach morze i poczęły je ściskać i zgniatać, a ono jakby wijąc się w kurczach i sycząc i wyjąc przeraźliwie w konwulsyach, rzucało się coraz gwałtowniej. Jakiś czas zdawało się mocować niebo z morzem. Grozę tej walki powiększyły wnet straszne huki piorunów, co wypadając z rozdzieranego błyskawicami nieba, ginęły w rozhukanem morzu. Morze na pioruny odpowiadało gwałtownymi bałwanami. Polały się strugi deszczu, które wicher zwijał w olbrzymie sploty. Wśród tej walki, jakby piłka podrzucana nogami wśród przeciwników, obijał się między bałwanami morskimi i zalewem nieba nasz „Zygmunt". To podnosiła go fala, to nakrył go spadający nań z hukiem jakby olbrzymia góra bałwan, a kiedy się wynurzył z fali, zalewały go strugi deszczu; — co chwila zaświeciły nad nim błyskawice, ażali go jeszcze z pod wody można zobaczyć. Z wielkiem przejęciem się odmawiałem wtedy: „Ave Maria stella", i mało co spaliśmy w tę straszną noc. Wreszcie nad ranem piękne niebo zdawało się jakby tryumfająco uśmiechać, nasz okręt pruł spokojnie dalej morze, tylko fale jeszcze nie uspokojone, gniewały się i, jakby podrażnione spokojem naszego „Zygmunta", goniły za nim i rzucały mu często jeszcze na pokład swoje ramiona, ale on się wymykał i zalać się nie dał. — Był to dzień Wszystkich Świętych. Obfity materyał był w ten dzień do rozmyślania, myśli cisnęło się dużo. Tak dobitny obraz każdej duszy, co jak nasz okręt przez morze dążyć musi wśród burz do portu szczęliwego, zajmował bardzo moje myśli i wyobraźnię. Wszyscy święci takie burze przejść musieli, — nie można więc mieć pretensyi do życia spokojnego i wygodnego. W całej pełni też odczuwaliśmy brak pociechy, której musieliśmy być pozbawieni przez cały czas podróży — nie mogliśmy mieć mszy św. Dopiero dnia 19. listopada odprawiliśmy ją na brzegach Brazylii.

Przez cały zaś ten czas, rzuceni na szerokie morze, jak jednostajny mieliśmy zawsze widok nieba i niezmiernych przestrzeni wód, tak jednostajny zdawał się czas, w którym

dnia poprzedniego niczem odróżnić nie było można od święta. Aż do 16. listopada nie mieliśmy innych widoków nad niebo i morze, na którem czasem zdala pokazał się jakiś okręt. A jednak w tej jednostajności wcale nie nudno. Całymi dniami wpatrywać się można bez znudzenia w morze, podziwiać tę cudowną rozmaitość formowania się fal, które jakby w żyjące przemieniają się istoty i gonią się ze sobą i walczą i wyprawiają dziwne harce; raz smutniej, drugi raz weselej wyglądają — a zawsze pełno w nich życia. Stada latających rybek, spłoszone okrętem, wylatują z morza i jakby jaskółek gromady pędzą, aż znowu zapadają się w wodach; od czasu do czasu delfiny przewalają się nad falami, rozkoszując się w słońcu, to znowu rzędem puszczą się na wyścigi z okrętem, a wyprzedziwszy go, jakby zaprzęg płyną tuż na przodzie, aż znudzone za powolnym jego biegiem, opuszczą go i pomkną jak strzały naprzód, ginąc gdzieś daleko w głębinach. A wieczory jak wspaniałe! Przepędzaliśmy je aż do północy na pokładzie, bo na spoczynek do kajuty wcale się nie spieszyło. Przepłynęliśmy już gorący „Golfstrom“ i znajdowaliśmy się na strefie zwrotnikowej; w kajucie gorąco przekraczało regularnie 25°, na pokładzie zaś powiewał miły wietrzyk, niebo było gwiaździste, a gdy jeszcze księżyc zaświecił, zejść z pokładu nie było już wcale ochoty. Ile razy mówiliśmy sobie, wskazując w stronę Europy: „tam nasi już wstali, a my jeszcze spać się nie wybieramy“. Codzień byliśmy o mniej więcej 240 mil morskich dalej na południe, ale cóż to było wobec 5000 mil, które trzeba było przebyć. Dnia 14. listopada około 6. wieczorem przejechaliśmy równik i znaleźliśmy się na południowej półkuli. Cudowny był w ten dzień zachód słońca. — Jakto musi być pięknie w niebie, kiedy tu na wygnaniu tyle piękności zachwyca duszę! Dnia 16. listopada ukazały się mewy, zwiastunki niedalekiego lądu. Wkrótce przez lornety dojrzeliśmy góry i lasy postrzępionych brzegów Brazylii. Choć na morzu pięknie, radość jednak była wielka na widok lądu. Około 5. godz. pod wieczór ukazała się ślicznie położona Olinda pod miastem. Pernambuco Olinda to

jakby Bielany pod Krakowem. Na górze nad samym brzegiem morza kilka wież kościelnych i duży gmach szpitalny, w którym pracują Siostry Miłosierdzia i Misyonarze francuscy. Wśród lasów palmowych przy zachodzie słońca wyglądało to ładnie. Niżej Pernambuco, miasteczko portowe. Podjechaliśmy już wieczorem, władze portowe nie urzędowały, więc nasz „Zygmunt“ zarzucił kotwicę i nocowaliśmy na morzu. Widok pierwszego miasta brazylijskiego przy oświetleniu wieczornem długo nas zatrzymał na pokładzie. Z okrętu zejść nie było wolno, bo miał tylko wydać towary i pocztę i spieszyć dalej. Zatrzymaliśmy się też tylko do południa, przyglądając się licznym półnagim murzynom, co wyładowywali spiesznie wśród strasznego upału towary z okrętu. Wszystko dla nas było nowe, wszystko ciekawiło. Ruszamy dalej, ląd powoli znika znów z przed oczu. W poniedziałek dnia 19. listopada o godz. 5. rano, nasz „Zygmunt“ już czekał przed Bahią. Nie mógł wjechać do portu, bo nie wstali jeszcze urzędnicy pocztowi. Cudownie wyglądała Bahia przy wschodzie słońca. Jest to miasto jedno z najstarszych w Brazylii, pierwsze ognisko katolicyzmu. Położone jest prześlicznie, amfiteatralnie na wysokim brzegu obszernej zatoki morskiej. Na widok wspaniałych, a bardzo licznych wierzyc kościelnych i wielkich gmachów klasztornych, które podziwiamy z okrętu, nie chce się wierzyć, że to miasto brazylijskie, to jakby Genua albo inne wspaniałe miasto nadbrzeżne we Włoszech.

Ruszył wreszcie nasz „Zygmunt“ i lawirując między licznymi okrętami, które stały w zatoce, podpłynął bliżej portu. Przystanął więc i zapuścił kotwicę, a wnet opadły go chmary łódek, z których — jak nasi żydowscy fiakrzy na prowincyi — wołają na podróżnych przewoźnicy, zapraszając każdy do swojej łódki, aby ich na brzeg przewieźć. Widząc, że podróżnych mało, biją się i pchają, aby ze swoją łodzią przypłynąć bliżej pod okręt. W wielkich tratwach nadjeżdżają przekupnie z ananasami, pomarańczami, papugami etc. Po schodkach schodzimy z okrętu, wskakujemy w jedną z łodzi i każemy się wieść do brzegu, potem siadamy. na zębatą, linową kolej

i jedziemy ulicą w górę miasta. Nie mając zaufania do tramwaju, który ciągnęły osły i muły, szliśmy pieszo ku kościołowi św. Teresy, gdzie jest seminaryum dyecezyalne, zostające pod kierunkiem naszych Konfratrów francuskich. Ulice wązkie, brukowane kamieniami okrąglakami, pełne wybojów, prowadzą to w górę, to na dół; wśród strasznego więc upału, jaki już o godz. 9. panował, upadaliśmy ze znużenia i wycieńczenia. Wreszcie znaleźliśmy się u celu naszej podróży t. j. w klasztorze pokarmelitańskim, — do połowy w ruinach; na korytarzach i w kilku zgrubsza odrestaurowanych celach mieszczą się Misyonarze razem ze seminaryum. Okien ani drzwi po większej części niema; szpar wiele, ale to ich nie straszy, owszem jest ciągły przewiew od morza, więc chłodniej, a to najlepsze wśród tych tropikalnych upałów. Po długiem błądzeniu wśród ruin natrafiamy na piętrze jedne drzwi zamknięte, pukamy śmiało, słyszymy „entrez", wchodzimy, przedstawiamy się, serdecznie nas wita superyor domu ks. Monteiro. Pospieszyliśmy zaraz odprawić po 3-tygodniowej przerwie mszę św., po której zabrano nas do drugiego domu Konfratrów na obiad, dokąd byli wszyscy zaproszeni z racyi, że w seminaryum właśnie się skończył rok szkolny i rekolekcye księży w dyecezyi. Wakacye urządza się tam w grudniu, bo wtedy lato i największe w Brazylii upały. — Pojechaliśmy więc tramwajem, ciągnionym przez nędzne muły na Campo da Polvoro, gdzie drugi dom Konfratrów, którzy pracują na misyach, obsługują szpital i liczne dzieła Sióstr w Bahii. Przyjęli nas i tam nadzwyczaj serdecznie i gościnnie. Dom mają piętrowy, dosyć duży, kupiony niedawno od prywatnych osób; koło domu w podwórzu nędzne oficyny, dawniej mieszkania niewolników murzynów, których każdy Brazylianin aż do czasu zniesienia niewoli (przed 20 laty) trzymał jako swój dobytek roboczy, dalej ogród, pełen drzew pomarańczowych, ananasów, bananów, palm etc. Po obiedzie zwiedziliśmy szpital, zakłady Sióstr, a między nimi śliczny pensyonat panien, utrzymywany przez Siostry, po większej części francuskie: Sieroty (dzieci domowe), choć Brazylianki, wszystkie

wcale nieźle po francusku mówią. Na ulicach pełno murzynów, którzy są tutaj wszyscy katolikami i przeważnie podobno pobożni. Mając na drugi dzień przy wielkim ołtarzu mszę św., do łez prawie byłem wzruszony, kiedy podawałem komunię św. murzynom i murzynkom, z nadzwyczajną pobożnością do stołu pańskiego przystępującym. Nie potrzebuję wspominać, że po przechadzce tej w Bahii wśród zabijającego upału byliśmy całkiem wyczerpani, a tu w nocy nie było można spać z gorąca, niegodziwe zaś moskity do tylu udręczeń dodały ks. Kołodziejowi i to, że go nielitościwie pokłóły tak, iż byłbym się na widok jego rano uśmiał bardzo, gdyby mi go nie było żal serdecznie.

Bahia cała miłe na nas zrobiła wrażenie, smutne tylko o tyle, że jest dużo ruin klasztorów i dawnych kościołów, z których niektóre mozolnie i powoli odbudowują arcybiskup i zakony; poznawszy potem Brazylię bliżej, pomyślałem sobie, że ta metropolia Brazylii ze swemi licznemi ruinami stanowi niejako obraz Brazylii całej pod względem jej katolicyzmu. Są to ruiny przeszłości świetnej, które się dźwiga z mozołem.

(Dokończenie nastąpi).

Dzieje Zgromadzenia w Portugalii.

(Ciąg dalszy.)

Tak pomyślne dla Zgromadzenia naszego stosunki w Portugalii za króla Jana V. uległy najzupełniejszej zmianie za rządów jego syna, Józefa Emanuela (1750—1777). Był to monarcha leniwy i zniewieściały, a rządy za niego sprawował minister Pombal, zły duch króla, może skądinąd dobrego, ale do poważnej pracy niezdolnego. Sam minister, wolnomularz, sprawuje rządy w duchu oświeconego racyonalizmu XVIII. wieku i w zakresie spraw kościelnych przywraca zupełną supremacyę władzy królewskiej tak w kraju jak i w stosunku do rozporządzeń papieskich; jako człowiek mściwy i ambitny tępi bezlitośnie tych, którzy mu stanęli na przeszkodzie w jego destrukcyjnej i wrogiej Kościołowi robocie, a tymi byli w pierwszym rzędzie Jezuici, zakon potężny, liczący w samej Portugalii i jej koloniach 1854 członków, 24 wielkich kolegiów i 17 rezydencyj. Jednem słowem była to największa prowincya Tow. Jezusowego, które wzorowo zagospodarowało i nawracało kolonie portugalskie we wszystkich częściach świata, a przedewszystkiem sławne redukcye paragwajskie. W Portugalii rozpoczęło się to straszne prześladowanie Tow. Jezusowego, które później dzięki koalicyi wolnomularskich ministrów: Choiseula, Arandy, Tanucci'ego i Pombala, ogarnęło wszystkie kraje romańskie, pod rządami Burbonów zostające. Walka z zakonem OO. Jezuitów spotkała się z oporem Stolicy Apostolskiej, co wkońcu sprowadziło zupełne zerwanie stosunków dyplomatycznych z Watykanem, poddanie rozporządzeń papieskich pod orzeczenie trybunału królewskiego, zniesienie indeksu ksiąg filozofów

francuskich, a wkońcu zniesienie lub skazanie na wymarcie wielu zakonów i zgromadzeń.

Wśród takich stosunków kościelnych i położenie naszego Zgromadzenia uległo wielkiej zmianie. Podwaliny, rzucone przez pierwszych Misyonarzy przy pomocy życzliwego króla Jana V. wystarczały, by się Zgromadzenie nadal o własnych siłach rozwijało. I tak się też stało; o ile w pierwszym okresie fundacye naszego Zgromadzenia były ściśle połączone z protekcyą dworu królewskiego, o tyle za rządów Józefa Emanuela nie słychać nic na dworze o Misyonarzach. Zgromadzenie, pozostawione samo sobie, a poniekąd uwolnione od kłopotliwej opieki królewskiej, rozwija się potężnie i podejmuje się prac swego powołania na wielką skalę; dopiero kasata zakonu OO. Jezuitów przypomniała dworowi Misyonarzy, którymi chciano zapełnić powstałe wśród duchowieństwa luki, a zwłaszcza w krajach misyjnych. Ten pozorny spokój był jednak tylko ciszą przed burzą. Ze szczupłych źródeł, jakie mamy pod rękę, niepodobna wywnioskować, co było właściwym powodem walki Pombala z naszem Zgromadzeniem. Naturalnie, Misyonarze nie mogli stać po stronie ministra, który z jednej strony mordował, palił na stosach zakonników, a z drugiej innych w ich miejsce powoływał. Ten bierny opór Misyonarzy przeciw samowoli i okrucieństwom krwiożerczego ministra sprawił zapewne, że wnet ostrze prześladowania, choć nie tak zaciętego, zwróciło się i przeciw naszemu Zgromadzeniu. Pierwsze ślady niechęci ministra spotykamy już około 1756. roku, kiedy sekretarz stanu nie pozwala wysyłać seminarzystów za granicę do Paryża, w celu przyswojenia sobie ducha powołania w domu macierzystym. Papież Benedykt XIV. przyznawał w sławnej bulli „*Ad montes domus Domini*“ połowę dochodów z dwóch opactw domowi w Lizbonie, na co się z chęcią zgodził król Jan V. Gdy jednak strony tych dochodów wypłacać nie chciały, Misyonarze zwrócili się ponownie do tegoż papieża i wyjednali sobie brewe, potwierdzające owe nadanie. Pombal zwłóczył jednak z decyzyą, aż przyszło trzęsienie ziemi w Lizbonie;

wtedy na skargi Misyonarzy odpowiadał minister, że wśród pożaru zginęły oryginały tych nadań, a wkońcu, gdy Misyonarze dostarczyli duplikatów, zbył ich krótko, że nadania nic nie znaczą, bo były wydane w czasach, gdy rozporządzenia papieskie nie podlegały orzeczeniom króla. W r. 1759. odprowadzają Misyonarze 8 skazańców na miejsce stracenia pod Belem koło Lizbony; były to niewinne ofiary chytrości ministra, skazane na śmierć za rzekomy zamach na króla. Torturami wymuszono na książętach Aveiro i Tavora zeznania kompromitujące OO. Jezuitów jako wspólników, które następnie ofiary odwoływały. Jakie musiały być uczucia naszych Konfratrów, gdy ci niewinni wśród ośmiogodzinnych mąk okropnych katuszy konali — trudno sobie dziś wyobrazić. Wyszczególnia to w swoim pamiętniku ks. Vieira, widocznie zdawał sobie sprawę z całej tej okropnej sytuacyi, w jakiej się znaleźli nasi księża. Dodaje również do tej wzmianki, że Misyonarzom powierzono ciężki obowiązek kapelanów więziennych i odprowadzania na miejsce kaźni ofiar, skazanych na śmierć, gdy od tych prac usunięto OO. Jezuitów. A któż te więzienia zapełniał, jeżeli nie skazani na zagładę OO. Jezuici? W wilgotnych więzieniach nad Tagiem przebywało ich 180, w tak okropnej nędzy, że sam dozorca mawiał: Wszystko w tych lochach gnije, tylko OO. Jezuici zgnić tu jakoś nie mogą. Stąd dopiero wyprowadzano ich na miejsce stracenia lub dożywotne wygnanie. Ale nie na tem kończy się praca Misyonarzy; dom centralny w Rilhafolles zostaje pewnego rodzaju domem poprawy dla wszystkich, których tu posyła tak władza kościelna jak i świecka, bądź z kościelnych, bądź politycznych względów; nadto powierzono Misyonarzom wszystkie więzienia i szpitale w Lizbonie do obsługi i w ten sposób rozszerzył się zakres pracy naszego Zgromadzenia, bo Pombal nie chciał jawnie gwałcić praw Kościoła i skrzętnie obsadzał opuszczone przez OO. Jezuitów posady po więzieniach i szpitalach przynajmniej w stolicy. Ostatecznie konflikt ze Zgromadzeniem był nieunikniony; prawdopodobnie stosunek z generalnymi przełożonymi był znowu tym kamieniem obrażenia,

o który przy stałości Misyonarzy potknął się minister. Cyrkularz generała Jacquier z d. 1. stycznia 1763. roku czyni zaledwie krótką wzmiankę o Zgromadzeniu w Portugalii w tych słowach: „O naszych Konfratrach z Lizbony mało donieść mogę. Roztropność wymaga, żeby się z nami nie znosili, co oni też rzeczywiście czynią i za to musimy ich pochwalić“. Już jednak kilka lat później, bo w r. 1768. oświadcza tenże generał w cyrkularzu: „O naszem Zgromadzeniu w Portugalii niewiele powiedzieć mogę, lecz zagłada jego z niektórych względów jest już rzeczą postanowioną, a przedewszystkiem z tego powodu, że nie można przyjmować nowych członków bez zezwolenia króla, którego on stale odmawia. W ten sposób, jeżeli się położenie nie zmieni, musi z braku członków upaść nasze Zgromadzenie“. Niestety, nie znamy tych powodów i względów, dla których Zgromadzenie zostało skazanem na wymarcie. Naturalnie Pombal był duszą wszystkich zamachów na wolność Kościoła i jego zakonów; króla Józefa Emanuela, bierne narzędzie niecnego ministra, nie bierzemy tu w rachubę, bo monarcha ten nie byłby tak zaciekle niszczył pracy swego ojca, gdyby go do tego nie był namawiał sam minister. Na szczęście dni rządów Pombala były już policzone. W roku 1777. umiera król Józef Emanuel, a ze śmiercią jego upadł i Pombal, który stawiony teràz przed sąd za swe zbrodnie, został skazany na śmierć, lecz ułaskawiony, umarł w zapomnieniu. Odetchnął Kościół w Portugalii po śmierci tego tyrana, a nasze Zgromadzenie, przetrzymawszy szczęśliwie tę ciężką próbę, odzyskało teraz swobodę działania i pracy.

Zgromadzenie, pozostawione samo sobie, rozwija się pod każdym względem. Przedewszystkiem wykształciło sobie dostateczną ilość członków, których zapotrzebowanie wobec ciągle powstających nowych domów było coraz większe. Do roku 1755., t. j. do strasznego trzęsienia ziemi w Lizbonie i Portugalii, Zgromadzenie obok domu w Lizbonie i Miranda, posiadało nadto dom w Guimaraes w dyecezyi Braga. Była to najpiękniejsza rezydencya Zgromadzenia; położona w za-

ciszu wśród wiecznie zielonych wzgórz i pól, nadawała się znakomicie na dom spoczynku dla strudzonych pracą misyjną jakoteż i na seminaryum, gdzie w spokoju i ścisłem zachowaniu reguł można było wykształcić przyszłych Misyonarzy. Z wdzięczności dla fundatora domu w Guimaraes, Misyonarze odprawili misye w dyecezyi Braga, które objęły w przeciągu kilku lat 1250 parafij tejże dyecezyi. Wogóle wobec większej liczby członków Zgromadzenia i praca przybrała wielkie rozmiary. Obok głównego zadania, t. j. odprawiania misyi po parafiach, Misyonarze udzielają rekolekcyj dla ordynandów, zakładają szkoły po wsiach, gromadzą ludzi świeckich na rekolekcye po swych domach. Cyrkularze przełożonego generalnego z r. 1753, 1754. określają rodzaje pracy w sposób ogólny, że zapotrzebowanie Misyonarzy jest wielkie, propozycye i nadania na nowe domy się mnożą, tak, że nawet kilku Konfratrów francuskich musiało pospieszyć z pomocą do prowincyi portugalskiej, głównie na posady profesorów po seminaryach. Nagłe nieszczęście powstrzymało cały ten rozwój Zgromadzenia na lat kilka, a było niem straszne trzęsienie ziemi w Lizbonie i Portugalii w r. 1755. Stolica legła w gruzach, grzebiąc 30.000 nieszczęśliwych pod ruinami. Rozmiary klęski i nieszczęścia były tem okropniejsze, że zdarzyło się to w dzień Wszystkich Świętych, gdy wielkie tłumy ludności wypełniały kościoły lizbońskie po same brzegi na głównem nabożeństwie. Cyrkularz generalnego przełożonego Ludwika De Bras z dnia 1. stycznia 1756. r., pisany bezpośrednio po otrzymaniu wiadomości o tej okropnej klęsce, najlepiej określa wrażenie w Zgromadzeniu i u współczesnych. Między innemi pisze generał: „Spodziewacie się zapewne, drodzy Konfratrzy, wiadomości o naszem Zgromadzeniu w Lizbonie. Straszne trzęsienie ziemi, o którem dowiedzieliśmy się z gazet, w przeciągu kwadransa obróciło w kupę gruzów połowę miasta, najpiękniejsze kościoły i pałac królewski, grzebiąc wielką liczbę ludzi pod zwaliskami budynków; to wszystko napawało nas ciągłą trwogą o los naszych współbraci, zwłaszcza, że straszne to trzęsienie ziemi ogarnęło i inne

miasta królestwa, w Hiszpanii nawet okropne wyrządziło spustoszenia, dając się odczuć aż w Bordeaux. Na szczęście otrzymaliśmy list z Lizbony dnia 9. grudnia, w którym nam Konfratrzy donoszą, że Bóg ich szczęśliwie wszystkich przy życiu zachował. Dziesięć dni po tem okropnem nieszczęściu pisali nam ten list i do tej chwili nie ochłonęli jeszcze z przerażenia, w jakie ich wprawiła ta klęska. Nieszczęścia Jerozolimy, opisane przez proroka Jeremiasza, spotkały obecnie i Lizbonę. To miasto, jedno z najpiękniejszych i najbogatszych w Europie, gdzie bogactwo kościołów a przepych aparatów kościelnych olśniewał oczy, legło w gruzach zniszczone przez trzęsienie ziemi, które wprawdzie trwało tylko dziesięć do dwunastu minut, lecz uderzenia były tak gwałtowne, że wszystko, co pod pierwszym ciosem ocalało lub się zachwiało, pod drugiem uderzeniem z trzaskiem i łomotem waliło się na ziemię. Drugie uderzenie nastąpiło zaraz po pierwszem, i choć było mniej gwałtownem, to jednak dopełniło ruiny miasta, bo najpiękniejsze gmachy, kościoły i klasztory runęły wśród tak przerażającego huku, jak gdyby już nadchodził koniec świata.

Konfratrzy bliżej nie opisują klęski, o której dziś już wie świat cały. Tu podać chcemy tylko to, co spotkało naszych współbraci. W okropnej tej chwili znajdowali się w chórze na sumie; gdy nagle pierwszy cios trzęsienia ziemi przeraził wszystkich. Cały dom chwiał się to w jedną to w drugą stronę i chociaż się nie rozsypał w gruzy, to jednak nie można w nim mieszkać, dopóki go się na nowo nie odbuduje. Tymczasem mieszkają nasi Konfratrzy w ogrodzie pod namiotami; wogóle, cała Lizbona wyległa pod namioty: bogaty czy ubogi, duchowny czy świecki i szczęśliwym jest ten, co ma przytułek przed deszczem i burzami. Król ze swą rodziną w trwodze schronił się w góry, gdzie mieszka w namiotach. Nasi współbracia zaraz w pierwszych dniach udali się na ulice, by grzebać zabitych, a umierającym udzielać ostatnich sakramentów św. Groziło to wielkiem niebezpieczeństwem życia, gdyż wielka część domów jest tak porysowana, że najmniejsze wstrzą-

śnienie powoduje ich rozsypkę, co nowem zagraża niebezpieczeństwem. Prócz codziennych modlitw, odprawianych z polecenia Kardynała-Patryarchy, Konfratrzy nasi pierwsi odprawiali po stolicy procesye pokutne, krocząc boso z krzyżami w rękach przy śpiewie Miserere i innych psalmów pokutnych, co na lud uspakajająco wpływało. Obecnie spowiadają od rana do wieczora; lud ciągle napływa do konfesyonałów dla odprawienia spowiedzi generalnych i wogóle nieszczęście to straszne więcej serc skruszyło, niż misya choćby i dziesięcioletnia. Oby z łaską Bożą szczerze się te dusze nawróciły i wiernie Bogu służyły.

Ale nasi współbracia zostali z wszystkiego ogołoceni. Dom ich stoi w ruinie, niezamieszkały, a ponieważ dochody nasze płynęły z kas państwowych, więc ustały obecnie, bo państwo samo nie tak prędko podniesie się z upadku. Nie mając środków na swe utrzymanie, Misyonarze będą się musieli rozprószyć, żeby przez najrozmaitsze prace zarobić sobie na utrzymanie życia Postanowiono rozesłać wszystkich kapłanów po dyecezyach, gdzie ich praca byłaby pożądaną. Dom macierzysty przyjmie wszystkich studentów na czas, dopóki prowincya się nie podniesie, by ich utrzymać i do prac zgromadzenia zużytkować. Pozostali nam jeszcze seminarzyści i nie wiadomo, co z nimi począć. Rozpuścić ich z powodu braku odzieży i pożywienia znaczyłoby tyle, co zniszczyć wszystkie nadzieje Zgromadzenia w Portugalii. Postanowiono na razie zatrzymać tych, co mogą cośkolwiek na swe utrzymanie płacić, a innych, zdradzających przywiązanie do powołania, odeśle się w sukniach do familii, dopóki nam Opatrzność jakich środków na ich utrzymanie nie dostarczy".

Choć trzęsienie ziemi w ruinę obróciło jeden dom, to jednak przynajmniej straty w członkach nie opłakiwało Zgromadzenie. Wśród zamieszania i pożarów powstałych wskutek trzęsienia ziemi żniwował przewrotny Pombal; to zaprzeczał odwiecznych nadań klasztornych, to sekwestrował inne dobra duchowne, to nie pozwalał budować klasztorów, wogóle dążył do zniszczenia wpływu duchowieństwa w stolicy. Misyo-

narzom zaprzeczył tylko dochodów z dwóch opactw, wymawiając się pożarem, który zniszczył królewskie archiwa i dokumenta. Nie poniósłszy skądinąd większych szkód, Misyonarze zabrali się do restauracyi domu, nie przerywając prac powołania. Już w następnych latach cyrkularze przynoszą pomyślne wieści z Lizbony, że dom zrestaurowany Konfratrzy znowu zamieszkali, tylko obawy nowego trzęsienia ziemi trzymają wszystkich w naprężeniu; zresztą misye po parafiach sprowadzają bardzo błogie owoce. W roku 1758. panują już w domu centralnym w Lizbonie normalne stosunki. Ponieważ kościół należał do tych kilku, które wśród spalonych zgliszcz i ruin ocalały, trzeba go było otworzyć dla obsługi wiernych; lecz już pod koniec tego roku podniesiono z gruzów i kościoły parafialne. Nawet komisarz generalny ks. Testori odprawia w tym roku wizytę prowincyi portugalskiej. I ze strony dworu nie spotkały go żadne trudności w przeciwieństwie do ks. Perriquet, który po długich staraniach mógł dopiero w 1747. r. odprawić wizytę. Stwierdzono na tej wizycie pilne zachowanie reguł i szczere oddanie się pracom Zgromadzenia.

W roku 1758. rozpoczęli Misyonarze pracę misyjną w dyecezyi Coimbra. Przez dwa lata pracowali po parafiach wszędzie z ogromnym skutkiem. Lud nawracał się z całego serca; Misyonarze dla utwierdzenia ich w dobrem zakładają 18 szkół dla młodzieży, do których utrzymania obowiązały się wszystkie gminy. Osobny inspektor zwiedzał kolejno szkoły, by młodzież nie wróciła do dawnej rozwiązłości. Najowocniejszą była jednak praca w samej stolicy dyecezyi, w Coimbrze. Starożytne to miasto, sławne od wieków średnich ze swego uniwersytetu, słynęło skądinąd z rozpusty młodzieży uniwersyteckiej. Po odprawionych misyach lepsza część mieszczaństwa wraz z biskupem z chęcią zgodziła się na propozycyę Misyonarzy, by dla upadłych kobiet, które tłumnie włóczyły się po mieście, założyć dom schronienia i pracy. Kierownictwa tego domu podjęło się 13 bogatych mieszczanek; złożywszy swe posagi, zakupiły dom i złączyły się w Zgromadzenie, któremu Misyo-

narze przepisali regułę. Biskup z wdzięczności dla Misyonarzy pragnął ich na zawsze zatrzymać w swej dyecezyi, wobec szczupłej liczby członków fundacya nowego domu była jednak wprost niemożliwą. Liczba trzech domów nie pozwalała jeszcze ukonstytuować się Zgromadzeniu w osobną prowincyę portugalską, choć, powołując się na przywilej domu Warszawskiego, miało swą reprezentacyę na konwentach. W roku 1759, na konwencie generalnym pragnęły domy portugalskie połączyć się z prowincyą hiszpańską; generał De Bras licząc się z drażliwością dworu tudzież z narodową nienawiścią Portugalczyków do Hiszpanów, odrzucił ten projekt. Misyonarze wśród ciągłej pracy misyjnej przeszli prawie całą Portugalię. Obrobiwszy dyecezye Mirandy, Lieirii, Bragi, Coimbry, patryarchatu lizbońskiego, skierowali się ku dyecezyom południowym: i tak w roku 1757. dwaj Misyonarze Reis i Alasia wyjechali na 10-letnią pracę misyjną na wyspę Maderę i Porto-Santa; w tymże czasie biskup z Angra na Terceirze domaga się Misyonarzy dla swych seminaryów na Azorach; w 1777. r. pracują Misyonarze w dyecezyi Evora, a w 1796. widzimy ich na południowych kończynach Portugalii w dyecezyi Algarbii, gdzie zakładają seminaryum w porcie Faro.

Niebawem otwarło się jednak większe pole pracy dla Misyonarzy: olbrzymie kolonie Portugalii i kraje misyjne. Już od 1759. r. Pombal rozpoczął straszną walkę z Jezuitami która najpierw zakończyła się zniszczeniem i wypędzeniem ich z Portugalii a ostatecznie sprowadziła kasatę tego zakonu w r. 1773. Z zakonem tym upadły też i kolonie portugalskie, które odtąd, o ile nie odpadły od kraju macierzystego, dostały się pod wpływ Anglii. Pombal doczekał się jeszcze zniesienia znienawidzonego przezeń Tow. Jezusowego, a brewe papieskie o jego zniesieniu przyjęto w Lizbonie z niesłychaną radością; strzelano z armat, dzwoniono we wszystkie dzwony i przez trzy nocy iluminowano miasto. Spuścizna po Jezuitach, zakonie, liczącym 22589 członków, była olbrzymia tak w krajach misyjnych, jak i w Portugalii. Pombal nie troszczył się o stosunki kościelne, które zawichrzył; dopiero

Donna Marya (1777—1816), pobożna następczyni Józefa I., usiłuje zagoić rany, zadane Kościołowi przez bezbożnego ministra. Zgromadzenie nasze, skrępowane i ograniczone w swej działalności przez Pombala, odzyskało teraz swobodę działania. Oczy całego chrześcijaństwa, papieża i króla francuskiego zwróciły się wtedy na nasze Zgromadzenie, by objęło spuściznę po Jezuitach w krajach misyjnych. Wtedy to prowincya francuska objęła kolegia Jezuitów na wschodzie, a w roku 1783. i misye ich w Chinach. Prowincya portugalska naszego Zgromadzenia objęła misye po koloniach portugalskich. W roku 1779. dwaj pierwsi Misyonarze Machado i Santos docierają do Goa, gdzie przy grobie wielkiego apostoła narodów, św. Franciszka Ksawerego, założyli seminaryum; dwa lata później pracuje już czternastu Misyonarzy w seminaryach w Goa, Chorao i Rachol. W roku 1784. docierają dwaj Misyonarze Correja i Włoch Villa do Makao, zakładając seminaryum na dawnem polu pracy św. Franciszka Ksawerego i Jezuitów. Stąd w 1801. dotarli do Pekinu, gdzie dwóch portugalskich Misyonarzy Joachima Ferreiry i Józefa Ribeiry biskup Pekinu osadził przy kościele św. Józefa; jeżeli jeszcze do tego dodamy i osiedlenie się Misyonarzy w Brazylii w r. 1810, to przedstawi nam się prowincya portugalska w największym swym rozwoju przed wielką burzą rewolucyi i podbojem Portugalii przez wojska Napoleona.

(Dokończenie nastąpi).

Ks. J. Rzymełka.

Misye, dane przez naszych Konfratrów w Galicyi Zachodniej i środkowej w r. 1906.

Naglony przez szanowną redakcyę *Roczników,* podałem jej sprawozdanie z naszych prac misyjnych, podjętych przez nas w Królestwie Polskiem — nie w tym porządku, jak prace te po innych następowały, ale wysunąłem je naprzód, bo osobliwsze, niebywałe — dlatego mogły więcej zainteresować czytelnika. Nimeśmy się do Polski wybrali w r. 1906, przeoraliśmy sporo galicyjskiej ziemi; po powrocie stamtąd jeszcze się tu i owdzie wyskoczyło, co wszystko układa się na wiązankę wspomnień, które obecnie notuję.

Laszki. Zaraz pierwsza w tym roku misya była nieco ciekawsza i odmienna od innych tego rodzaju prac, jakie Konfratrzy z Kleparza od szeregu lat podejmowali. Skoro tylko na stolicy przemyskiej zasiadł Najprzewielebniejszy ks. biskup Pelczar, objawił życzenie, żeby Misyonarzy w swej dyecezyi mieć, a przynajmniej, żeby misye w tejże dyecezyi dawali. Ofiarowanej parafii jakoś nie mogli na razie nasi przyjąć dla braku sił; z misyami jednak zaczęto się w granice przemyskiej dyecezyi zapuszczać. Były naonczas 2 misyonarskie koła: jedno, kleparskie miało uwzględniać potrzeby krakowskiej, tarnowskiej i wrocławskiej dyecezyi (Gen. Wikaryat cieszyński); drugie zaś, wschodnie, podejmowało prace w archidyecezyi lwowskiej i to samo ewentualnie miało służyć dyecezyi przemyskiej. Tym sposobem ks. superyor Buchhorn przewodniczył tu kilku misyom; a czasem na pomniejsze prace z okazyi drobnych posług po domach siostrzeńskich sporadycznie się tu Konfratrzy jawili. Ks. superyor Tyczkowski zajęty w Tarnowie budową wspaniałego kościoła, wybrał się do Laszek obok Jarosławia za interesami. Rozmawiając z czci-

godnym ks. kanonikiem Bikowskim o tem i owem, słyszy żałobę, że Misyonarze misyi nie dają, że ich aż świeccy księża muszą wyręczać, że właśnie w dekanacie jarosławskim na wiosnę odbędzie się wizyta kanoniczna, którą w poszczególnych parafiach mają uprzedzić misye; kłopot wielki, bo skąd misyonarzy wziąć. Za radą ks. superyora Tyczkowskiego zgłasza się ks. kan. Bikowski na Kleparz z prośbą o misyę dla swej parafii, a równocześnie nadchodzi tamże list ks. Tyczkowskiego niby komentarz, jak sprawy stoją. Mówił nam sam ks. Bikowski, że takie było o nas w całej dyecezyi przekonanie, że my w cale misyi nie dajemy.

Mieliśmy wprawdzie cały czas aż po ostatki zajęty rekolekcyami, ale nie było rady: trzeba misyonarskiego honoru bronić. Bawił podówczas na Kleparzu, dając rekolekcye siostrom, niedaleki sąsiad Laszek, ks. superyor Konieczny z Witkowa, który poprzednio nie na jednej misyi pracował; jego zyskało się jako pierwszą siłę; do tego z Kleparza dwóch — i misya gotowa...

Z Kleparza wyjechaliśmy obydwaj z ks. Szymborem nazajutrz po skończeniu rekolekcyi dla mężczyzn tj. w sobotę 10. lutego. Kuryerem rannym przepruliśmy szybciuchno krakowską, tarnowską dyecezyę i kawał przemyskiej... stanęliśmy w Jarosławiu jeszcze sporo przed południem; stąd ujechawszy kawałeczek lokalną kolejką, przybyliśmy do Bobrówki, gdzie czekał na nas ks. superyor Konieczny z Witkowa. Stąd sankami za małe $^1/_2$ godziny stanęliśmy na miejscu. Z plebanii wybiegł ku nam pierwszy sędziwy nasz Senior, ks. Wdzięczny z Moszczan, a witał, a ściskał, aż kości trzeszczały — jak Jakób Benjamina i Józefa. Na poczekaniu ułożyło się plan pracy taki, żeby się i w Laszkach zrobiło wszystko w porządku i inne prace, które jeszcze nas czekały, na tem nie ucierpiały... Po posiłku zadzwoniono na nieszpory i praca zaczęła się zwykłym porządkiem.

Parafia tu starodawna: pierwsza erekcya jej sięga XV. wieku; w XVIII. wieku przyłączoną została do prepozytury Matki Boskiej Bolesnej w Jarosławiu i tak jako filia prze-

trwała aż do najświeższych czasów. Potem znowu odzyskała pierwotną godność i ks. kan. Bikowski instytuował się pierwszy jako proboszcz tutejszy. Wobec wzmagających się ustawicznie potrzeb parafian władza duchowna postarała się o utworzenie posady wikaryusza, a niestrudzony ks. kan. Bikowski już podjął zabiegi, żeby na krańcach tej rozrzuconej owczarni swojej przynajmniej 2 filie utworzyć. Kościółek stary, drewniany stanął w r. 1736., za staraniem prepozyta kolegiaty jarosławskiej, ks. Wacława Sierakowskiego, późniejszego biskupa przemyskiego a następnie arcybiskupa lwowskiego. W nim wypadło nam tę misyę dawać. Kiedy tu znowu Misyonarze zjadą, chyba już w nowej, budującej się świątyni będą słowo Boże głosić. Parafia obecnie liczy około 3000 dusz takich, co są w księgach parafialnych zapisane; a ileż to jeszcze służby po dworach? Było co robić cały tydzień... Najprzód przyszły kobiety i dziewczęta w liczbie 850, za niemi gospodarze i chłopaki: tych było 650. Z braćmi Rusinami nie robiliśmy różnicy, owszem perswadowało im się ustawicznie, że co ma dobrego, pożytecznego Matka nasza, Kościół katolicki, to ma dla wszystkich swoich dziatek: jakiejkolwiek one są mowy czy narodowości — więc i dla Polaków i dla Rusinów. Schodzili się też i oni i z misyi korzystali. Widząc, że Polacy biorą szkaplerze, zapisują się do różańców etc... oni też sobie pobrali w kramach i poświęcili...

Lud z usposobienia jest tu mieszany: przeważa żywioł mazurski, w głowach dosyć jasno; ale też już zatrąca powolnością, ociężałością ruską... Przez cały tydzień konfesyonały mieliśmy dobrze obstawione. Oprócz nas 3 było dwóch księży miejscowych a nadjeżdżali z pomocą księża sąsiedni z Jarosławia: jeden z klasztoru Braci Mniejszych, drugi z parafii a najwierniej codzień z pomocą spieszył czcigodny nasz kochany O. Senior z Moszczan. Kiedy przyszła męska serya, powypędzał raniutko wszystkich z tego rachunku na misyę a sam nieraz i pieszo brnął po śniegach, żeby z pomocą dopisać. Pierwszy nas powitał, ostatni pożegnał, a przecież to starzec, co już 70. dogania... Skończyliśmy pracę w nie-

dzielę 18. lutego na sumie, powiedziawszy ogółem nauk w Laszkach 29. Po południu tegoż dnia wyruszyliśmy tą samą co poprzednio drogą, t. j. przez Bobrówkę do Jarosławia, skąd kuryerem wieczornym stanęliśmy w Krakowie, by na rekolekcyach dziewcząt, które się następnego dnia zaczynały, być pod ręką i pomódz.

Sobolów. Szliśmy z ognia w ogień. Dopiero rekolekcye mężczyzn, znowu misya w Laszkach, potem rekolekcye dziewcząt, wreszcie „ostatki" u Sióstr na Kleparzu. Skończyły się ostatki, przebrzmiały światowe próżności, a my jeszcze z popiołem na głowach w drogę: na misyę do Sobolowa za Bochnię w dyecezyi tarnowskiej. Do ostatniej chwili czekał na nas z zaproszeniem na misyę ks. Stanisław Okoniewski, proboszcz w Bninie, w dyecezyi poznańskiej; wreszcie się rozmyślił, zaproszenie na rok następny odłożył. Ta sprawa wiele utrudniała ułożenie planów misyjnych na czas najbliższy. Wtem zgłosił się nagle serdeczny ks. kanonik Kosiński ze Sobolowa i jego misyę wstawiwszy na miejsce bnińskiej, ruszyliśmy do niego we wstępną sobotę dnia 3. marca: ks. ks. Szymbor, Kandora i niżej podpisany. W wagonie spotkaliśmy O. O. Jezuitów, jadących również na misyę w sąsiedztwo nasze, t. j. do Trzciany i ugadaliśmy się do syta. Stanęliśmy w Bochni. Tu — pisał nam ks. kanonik — mieliśmy wołać „Schlomki Nr. 9". Wołamy i wołamy, a z tego nic. Schlomka zabrał się do Bochni, a my musieliśmy na lichej furce wlec się do Sobolowa po górach, padołach, wśród okropnej zawieruchy. Dał Pan Bóg i to szczęśliwie przebyć, stanęliśmy na miejscu. Po południu zaczęcie misyi na Gorzkich żalach. Plebania staroświecka, szczupła, kościołek na wydmuchu również szczupły, a mazury wszędzie ruchliwe, ciekawe. W kościele zapowiadała się robota sążnista, a po niej należał się godziwy wypoczynek, by kości skołatane sprostować. Jakoś to szło wszystko, jedno po drugiem; pora marcowa dała się tu odczuć w całej swojej dokuczliwości: chwilami zdawało się, że nas z kościółkiem, plebanią starą i budynkami przyległymi wydmuchy te porwą i gdzie na Wiśnicz poniosą. Już

pod koniec tej pracy, kiedyśmy zmęczeni poszli na spoczynek, nagle pewnego wieczora słyszymy krzyk, że na plebanii pożar. Rzeczywiście służąca postawiła niezgrabnie świecę nad komodą, w której była bielizna i wyszła do innego pokoju. Tymczasem świeca zapalona spadła do szuflady, zajęła się bielizna i zanim spostrzeżono nieszczęście, prawie wszystko zniszczało. W kościele szło dosyć dobrze. Były wprawdzie w 2 innych pobliskich parafiach równocześnie misye, ale ks. ks. sąsiedzi tak się ułożyli, że i nam się jaka taka pomoc dostała. Kościółek za szczupły na parafię; ks. kanonik żałując ludzi, jakoś nie nagli sprawy rozszerzenia domu Bożego, stąd ścisku w czasie misyi nie brakło. Gdyby to w innej porze misya ta trafiła, możnaby było korzystać z cienistych, starych drzew, co kościół otaczają i ze spowiedziami poza kościołem łatwiejby sprawa poszła. Aleć przy św. Poście te drobne niewygody — w sam raz. Mieli tu przed kilku laty O. O. Jezuici misyę, w której cała okolica wzięła udział. Krzyż misyjny jeszcze stoi; dlatego nam odpadła ceremonia poświęcenia i postawienia misyjnego krzyża. Wogóle ta misya miała za cel przygotowanie parafii do wizyty kanonicznej, którą tego roku pod jesień miał w dekanacie bocheńskim odbyć Najprzewielebniejszy ks. biskup Wałęga. Stąd też po całym tym dekanacie ruch się obudził i Misyonarzy zapotrzebowano. Wyspowiadaliśmy: kobiet i dziewcząt 950, gospodarzy i chłopaków 750. Dnia 11. marca rano rozdaliśmy Komunię św. męskiej seryi i pożegnaliśmy się z ludem, chociaż jeszcze do wieczora spowiadaliśmy resztki.

Książnice. Następnego dnia raniutko wybraliśmy się naprzód wózkiem do Bochni, stąd koleją przez Dębicę i Mielec do Książnic nad Wisłokę. To ładny marsz od Raby aż nad Wisłokę. Mieliśmy tu misyę gładką, spokojną, niespełna 3 lata temu. W tym tak krótkim czasie pojawiły się nowe jakieś prądy w parafii. Nieprzyjaciele, zwolennicy przewrotowców zaczęli i w tę cichą, spokojną okolicę się zapuszczać. Stąd narobiono krzyku i na gwałt znowu Misyonarzy sprowadzono. Z poprzedniej misyi wiele pożytku zostało; ale i ten chwast

nowoczesny dosyć obficie się tu pojawił w postaci ludowców. Szanują parafianie przezacnego swojego pasterza, ks. kanonika Michalika; to też tem bardziej oburzało ich zachowanie się niesforne niektórych zwolenników nowych idei. Chcąc utwierdzić i pogłębić to, co się dobrego z poprzedniej misyi utrzymało, w tym tonie do parafian tutejszych przemawialiśmy. Widząc znowu, że przeciwnicy nie śpią, ale ustawicznie poczciwy lud przewrotnemi swojemi doktrynami bałamucą, przestrzegaliśmy przed nimi wiernych. Niby ludowców nie było w książnickiej parafii; a skoro tylko zaczęło się kółko różańcowe tworzyć, do czytania pożytecznych rzeczy zachęcać, przestrzegać przed złemi piśmidłami, już się znaleźli: zaczęli swoim obyczajem anonimy pisać, podrzucać je Misyonarzom, grozić to tem, to owem... Daj Boże im upamiętanie, bo gdzie się przesuną, to jak chmura gradowa, co najpiękniejszy łan pszenicy położy; tak i po nich najpoczciwszej parafii trudno poznać. Zabawiliśmy tym razem znowu tylko 3 dni: zaczęliśmy 12-go, skończyli 15-go marca wieczorem. Codzień były po 2 nauki; za to z całą usilnością pilnowaliśmy konfesyonałów i w tym tak krótkim czasie wyspowiadaliśmy 1450 osób, naturalnie przy pomocy życzliwych ks. ks. sąsiadów.

Kraków, 2 misye dla robotników. Znowu raniutko wybraliśmy się z Książnic, żeby przez Mielec i Dębicę dostać się czemprędzej do Krakowa, gdzie poważna czekała sprawa. Od szeregu lat, bo od czasu, jak objął rządy krakowskiej dyecezyi JEm., ks. kardynał Puzyna, w całej krakowskiej dyecezyi misyi nie brakło. Poszczególne parafie poza Krakowem, nie wyjmując nawet najbiedniejszych kościołów filialnych, miały wszystkie misye i kurs ten mieli szczęście zamknąć synowie św. Wincentego misyą w Łętowni (dekanat makowski) dnia 28. października r. 1901. W następnych latach znowu w tejże dyecezyi z zarządzenia Jego Eminencyi odbywały się i odbywają misye dekanatami w tym samym co poprzednio porządku. Dla samego Krakowa od czasu do czasu zarządzał tenże arcypasterz po niektórych kościołach misye. Tak było

w r. 1897, następnie przy zetknieniu się 2 wieków zarządzono w kilku kościołach misyjne tridua; przed dwu laty z okazyi Jubileuszu Niepokalanego Poczęcia N. Panny znowu gromadzono lud po kościołach parafialnych i klasztornych i jubileuszowe wtenczas odprawiano misye. Wszystkie te obchody nie były bez skutku; ale nie dotarły tam, gdzie ich najwięcej potrzeba. Są w Krakowie potężne zastępy dusz pobożnych, ludzie do wiary i kościoła przywiązani; ale też nie brak i jawnych bezbożników i takich znowu, co nie wiedzą, na którą stronę się przechylić. Ku tym właśnie skierowali swoje akcye socyaliści. Zdawało się, że już Kraków dla Kościoła przepadł, boć obóz ten zaludniła chyba najliczniejsza klasa tj. klasa robotników. Troskliwy stary pasterz pragnął tym biednym duszom ratunek przychylić — i zarządził dla nich specyalne, wyłączne misye w 5 kościołach krakowskich. OO. Jezuici wystąpili pierwsi na początku postu w kościele maryackim i zakończyli misyą u św. Mikołaja. OO. Redemptorzyści pracowali na Kazimierzu u Bożego Ciała; a nam się dostały 2 kościoły tj. na Piasku w parafii św. Szczepana i na Kleparzu u św. Floryana.

Znając dobrze Krakowian, boć się od szeregu lat wśród nich mieszkało, nie bez trwogi zabieraliśmy się do tej pracy. Po sobie sądząc, przypuszczam, że każdy z nas wolałby był pracować gdzieś wśród wiejskiego, spokojnego ludu, aniżeli stanąć wśród ludzi zaniedbanych, zobojęniałych i do nich przemawiać. Tam na pierwszy głos dzwonu leci wszystko, co żyje, obstąpi Misyonarza, słucha z ciekawością, ślęczy przy konfesyonale, a tu... kto wie jak będzie? Porozumiawszy się poprzednio z odnośnymi ks. ks. proboszczami i ułożywszy plany pracy, zaczęliśmy od św. Szczepana. Parafia to bardzo ludna, dlatego na 2 serye rozdzieliliśmy pracę. W pierwszej połowie uwzględniliśmy nieco kobiety tudzież wieśniaków. Przez 3 dni miewaliśmy do nich prawie jak na misyach ekshortę krótką przy pacierzu porannym, po prymaryi nauka pierwsza, po sumie około 11. godz. druga i wieczorem po Gorzkich żalach

trzecia. W tej seryi mieszanej wyspowiadało się 1500 osób. Chwała Bogu za to! Druga połowa przeznaczoną była wyłącznie dla robotników. Rano co dzień o godz. 5-tej powiedziało im się pierwszą naukę, potem przez cały dzień spowiadaliśmy, kto kiedy przyszedł; wieczorem o godz. 7-mej była druga nauka, po niej króciuchne błogosławieństwo i zaraz trzecia nauka... Rano nie bardzo wielu przychodziło, bo się im do pracy spieszyło i zresztą wymęczeni późno wieczór z nauk przyszli — to trudno było tak wcześnie się zrywać. Wieczorami zato kościół obszerny był zwykle pełny. Socyaliści zaczęli się odgrażać, że się pomszczą, podobno chcieli w kościele zamieszanie zrobić; ale nie zrobili i misya szczęśliwie a przytem wspaniale się odbyła. Sam Bóg wie najlepiej, ilu marnotrawnych synów do Ojca tu wróciło, ile zdobyczy wyrwało się ze szponów, z objęć socyalistów. Aż ręka mi zadrżała, bo serce mocno pukało, kiedy w dzień konkluzyi tj. w uroczystość Zwiastowania Najśw. Panny wypadło mi udzielać im błogosławieństwa papieskiego. Patrzę na nich od wielkiego ołtarza, a tu tłum nieprzeliczony samych mężczyzn; w oczach łzy im się kręcą, wszystko w jakimś poważnym nastroju. Naliczyliśmy według kartek i komunikantów 5000 uczestników w tej drugiej seryi. Korzystając z pięknej uroczystości w tym właśnie dniu przypadającej, oddaliśmy ich wszystkich w opiekę Najświętszej Pannie, która w tym prastarym kościele obrała sobie stolicę, żeby stąd cudowne łaski zlewać na pobożnych i bezbożnych, świętych i grzesznych. Zaczęliśmy tę misyę d. 17. marca wieczorem, a skończyliśmy d. 25. marca na sumie. Pracowali tu jeszcze ci sami, co poprzednio tj. ks. ks. Szymbor, Kandora i niżej podpisany.

Św. Floryan. Zaledwieśmy pożegnali księży z parafii św. Szczepana, a tu już u św. Floryana dzwonią... Jeżeliśmy z trwogą zaczynali pracę na Piasku, to tu jeszcze większa była obawa nasza, czy się zda na co ta misya. Tam jeszcze masy ludu wiejskiego za krakowskimi robotnikami; gdyby ci zawiedli, do kościoła nie przyszli, to na tamtych można było

na pewne liczyć; ale Kleparzan poznaliśmy przed 9 laty, kiedy pracując tu najusilniej $2^1/_2$ tygodnia, nie wieleśmy ułowili. Podały tę misyę „Roczniki“ z r. 1897. Przeszedłszy jednak na Piasku pierwszą próbę pracy tego rodzaju tj. misyi robotniczej, myśleliśmy sobie, że i tu jakoś pójdzie. Po dobrem zastanowieniu się zrobiliśmy rozkład pracy taki, żeby nikogo nie wyłączać; kto przyjdzie to będzie, wyspowiada go się, pouczy... Plan ostateczny taki był, że wypadło po 4 nauki dziennie mówić. Dzięki Bogu, słuchacza ani penitenta nie brakło. Na samem zaczęciu d. 25. marca, na „Gorzkich żalach“, kościół nie mógł pomieścić ludzi, a i później zwłaszcza wieczorami — było do kogo mówić. Jakaś dziwna łaska Boża te serca twarde, zobojętniałe poruszyła, co sami ludzie uznawali. Mówiła mi jedna kobiecina, że tyle razy słyszy floryańskie dzwony, a nigdy jej się tak nie podobały ich dźwięki, nie pociągały za serce tak, jak wtenczas, kiedy na pierwsze „Gorzkie żale“ i zaczęcie tej właśnie misyjki się odezwały. Pierwszą naukę mawialiśmy codzień jeszcze o zmroku zaraz po pierwszej mszy św., drugą o godz. $8^1/_2$, trzecią o godz. 3-ciej po południu, czwartą o 7-mej wieczorem. Codziennie po kilku księży słuchało spowiedzi i było co robić; a w ostatnim dniu misyi 28. marca spowiadało kilkunastu kapłanów aż gdzieś do 10-tej godz. w nocy; nazajutrz jeszcześmy kończyli do samego południa. Ogółem wzięło w tej misyi udział 1100 osób; a pracował tu prócz ks. ks. Kandory i niżej podpisanego także ks. Rosmann, który świeżo zjechał na Kleparz z dalekiej Bukowiny z kaczyckiego domu.

Królówka. Jeszcze jedna misya dosyć poważna czekała na nas przed świętami: Królówka za Bochnią. Bliziutko niej byliśmy już w tym poście, a nie dało się Królówki od razu ze Sobolowa wziąć, bo czas był za krótki.

Królówka niby wioska i cała parafia wiejska, ale lud tutejszy dobrze rozwinięty, obeznany ze światem, gruntownie obrobiony, prowadzony starannie przez takich księży jak śp. ks. Jan Wróbel, jak jego zastępca ks. kan. Pawlikowski. Gor-

liwi, zacni ci kapłani nie ograniczali się na pracy w konfesyonale, szkole, na ambonie i w kancelaryi, ale nadto dobrze zrozumiawszy ducha czasu, podawali ludowi miejscowemu sposobność uczciwego zarobkowania, chronili go od wyzysku żydów. Pierwszy założył w miejscu „kółko rolnicze“, które dotąd prosperuje, rozwija się wspaniale; drugi mleczarnię, która daleko w świecie słynie. Pociecha to wielka patrzeć, jak drogi i ścieżki do karczem żydowskich, przedtem zawsze ubite, dziś zaczynają trawą zarastać, bo tam mało kto zajrzy, a wszyscy i starzy i małe dziatki do „kółka“ idą za sprawunkami. Do mleczarni punktualnie o przeznaczonej porze raniutko kobietki znoszą mleko, a kiedy im śmietankę oddzielą centryfugą, a mleko oddadzą, powiadają, że „żelazem trąci“, a „jest takie, żeby je można i w Wielki piątek pić“. Ciekawiły nas te zakłady obydwa i odwiedzaliśmy je w wolnych chwilach.

Lud rozbudzony, gorący, sam do księży się garnie. Wikaryusz dobrze schorzały, proboszcz, wymęczony na poprzednim posterunku, często niedomagają, ale pchają biedę, jak mogą, a jak się więcej zajęć nazbiera, poproszą ks. kanonika Babraja z Krakowa, tutejszego rodaka, który zawsze chętnie z pomocą spieszy i jakoś to idzie. Plebanię zastaliśmy wspaniałą, kościółek stary drewniany, pod samą górką ustawiony; to też wszystkie biedy na niego bez miłosierdzia lecą. Ale już coś Królowianie o nowym zaczynają myśleć. Proboszcz, lubo chwilami niedomagający, serdecznością, prostotą swoją bardzo nas ujął i ogromnieśmy go pokochali.

Zaczęliśmy tu misyę d. 31. marca na „Gorzkich żalach“, a skończyło się wszystko w sobotę przed niedzielą palmową. Ks. Kandora już w sobotę odjechał do Krakowa pakować się do dalekiej podróży za morza, a myśmy obydwaj z ks. Szymborem zostali, by jeszcze resztki starszych tudzież dzieci szkolne spowiadać i jakoś tę misyę uroczyściej zamknąć. Miewaliśmy jak zwykle po 3 nauki dziennie i 1 ekshorcie przy modlitwach porannych. Wyspowiadało się kobiet i dziewcząt 1100; gospo-

darzy i chłopców 900. W niedzielę palmową zrana zajęły nam cały czas obrzędy żałobne tego dnia; po południu na Gorzkich żalach urządziło się oddanie parafii w opiekę Najśw. Panny Maryi. Po procesyi przemówił serdecznie ks proboszcz.

Nazajutrz 9. kwietnia raniutko pospieszyliśmy do Bochni, stąd znowu koleją przez Dębicę i Mielec do *Zgórska*, żeby przezacnemu przyjacielowi naszemu, ks. kan. Kowalskiemu, pomódz w słuchaniu wielkanocnej spowiedzi parafian, nad którymi sam jeden musi pracować. Za nami zaraz nadjechał ks. Tyczkowski z Tarnowa, na drugi zaś dzień nadciągnęło z okolicy kapłaństwa tyle, że nie tylko konfesyonałów, ale i stołków zabrakło — aż na kamieniach słuchali. I wyspowiadało się w W. poniedziałek po południu, w W. wtorek cały dzień i w W. środę do południa 1700 narodu. Wielka to ulga dla biedaka, który sam jeden 5-cio tysięcznej parafii pilnuje.

W W. środę pod wieczór ledwieśmy się ze Zgórska wyrwali, by stanąć na święta u swoich. Gładko się to dziś o tem wszystkiem pisze, ale jak się myślą zapuści w te łany, pokoszone temi samemi rękami, sami się chyba zdziwimy, jaki Bóg dobry, że tyle żniwa nasunął, a wszystko prawie jednym tchem sprzątnąć pozwolił. Takiej jak w tym roku nawałnicy z misyami jeszcześmy chyba nie mieli!...

Bielany. Jeszcześmy nie wytchnęli po tylu wielkopostnych trudach i znojach, a już nowe i to natarczywe wezwania czekały. Najprzewielebniejszy ks. biskup Nowak w zastępstwie J. Eminencyi, ks. kardynała Puzyny, usilnie prosił, by w dyecezyi krakowskiej wziąć kilka parafii z dekanatu oświęcimskiego; w tarnowskie jdyecezyi miała się już na wiosnę odbyć wizyta dekanatu limanowskiego, a jeszcze nie wszystkie parafie w tym dekanacie były misyami obrobione; nadto wszystko i o Królestwie Polskiem zaczęto u nas coraz głośniej mówić. Nie było rady: trzeba się było znowu natężyć do ostatka, żeby i tu i tam usłużyć.

Dnia 21. kwietnia zaczęliśmy misyę w Bielanach. Dwie są tej nazwy miejscowości w krakowskiej dyecezyi: jedna to wzgórza między Krakowem a Liszkami, sławne klasztorem OO. Kamedułów, druga tej samej nazwy jest parafia między Oświęcimem a Kętami. Tu nasza praca wypadła. Po ks. Kandorze przyłączył się do nas ks. Rossman i tak w trójkę daliśmy misyę tu i w sąsiednim Grojcu. Bielański kościół, dosyć obszerny, słynie daleko obrazem cudownym P. Jezusa. Lud nie osobliwszy: ciężki. Pasterzem zastaliśmy tu śp. ks. Ignacego Waszkiewicza, który kiedyś w Rajczy cudów gorliwości dokazywał; biedak zmarł tu nagle, w tydzień po misyi. Parafia niewielka, kilkakrotnie już poprzednio przez gorliwych synów św. Alfonsa Liguorego przewracana; dlategośmy tylko triduum misyjne tu zrobili i wystarczyło. Czasami nawet nie było co spowiadać. Wyspowiadało się jednak 1000 osób, nauk powiedzieliśmy 14.

Grojec. Po południu dnia 25. kwietnia jużeśmy stanęli w Grojcu. Parafia znowu maluczka, przez jednego księdza obsługiwana — znowu tu 3 dni wystarczyły. Kościół dosyć szczupły, drewniany; przybyliśmy ze słotą, to nieco utrudniało z początku pracę. Lud zato jakiś tu ruchliwszy i ciekawszy do dobrego niż w Bielanach. Przez całe 3 dni było co robić, a przy pomocy sąsiadów takeśmy się uwinęli, że już wieczornym kuryerem 28. kwietnia stanęliśmy w Krakowie. Wyspowiadało się 750 osób, nauk powiedzieliśmy 11. W dekanacie oświęcimskim mieliśmy dać kilka misyi, ale wobec naglących próśb z dyecezyi tarnowskiej tudzież zapowiadających się coraz wyraźniej prac w Królestwie Polskiem daliśmy tylko te dwie, resztę odkładając na czas późniejszy.

Pisarzowa. Wspomniało się wyżej, że w dekanacie limanowskim postanowił w tym roku na wiosnę odbyć wizytę kanoniczną Najprzew. ks. biskup Wałęga, a w tarnowskiej dyecezyi podobnie jak we lwowskiej i krakowskiej przed wizytą kanoniczną mają się odbyć misye.

W dekanacie limanowskim chyba rzadka parafia, gdziebyśmy poprzednio nie byli z pracy znani ludowi i księżom;

obecnie dla odmiany użyto tu innych sił; nas przypomniał sobie tylko najdawniejszy w tej okolicy przyjaciel, ks. kanonik Górski, u któregośmy przed 13 laty wstępny egzamin misyjny zdawali. W pracach misyjnych trwała u nas przerwa przez okrągłe 10 lat tj. od 1881 do 1891. Nagle zaczęto nas wzywać do archidyecezyi lwowskiej; czasami prosili do siebie księża w krakowskiej dyecezyi, a powoli zaczęliśmy się i w tarnowskiej dyecezyi pokazywać. Pierwszy wezwał naszych do siebie w r. 1891. ks. kan. Piaskowy z Brzeźnicy ad Bochnia. Zadowolony, ucieszony pomyślnymi skutkami pracy Konfratrów, polecił ich koledze swemu, ks. kan. Górskiemu w Pisarzowej. Tuśmy dali tygodniową misyę w r. 1893. Opis jej zamieściły „Roczniki“ w numerze jubileuszowym z r. 1899. Obecnie znowu nas wezwał do siebie stary ten misyonarski przyjaciel. W miejsce ks. Kandory, który wyjechał z innymi Konfratrami za morza, do misyi przeznaczony został na razie ks. Antoni Mazurkiewicz; inni dwaj tj. ks. Szymbor i niżej podpisany zostali nadal w tym urzędzie.

Dnia 2. maja ruszyliśmy zrana z Krakowa i tegoż dnia zaczęliśmy wieczorem pracę. Pierwsza misya dobrze się tu przyjęła, parafia cała w miejscu, to i nie było co dzielić. Zbierał się naród jak na nabożeństwo niedzielne: szedł kto tylko mógł, a czasem i sąsiedzi z Męciny, Chomranic, Koniny zaglądali. Przez 3 dni pracy nie brakło; wyspowiadaliśmy miejscowych parafian w czasie tej renowacyi, a dla obcych naznaczyło się dzień 6. maja jako dzień miejscowego odpustu. Wyspowiadaliśmy 840 osób, nauk powiedzieliśmy 14. W poniedziałek 7. maja wróciliśmy do Krakowa. Praca niewielka, zato podróż sążnista. Ot taka to sobie była przejażdżka majowa.

Odporyszów-Męcina. Tylkośmy zajechali do Krakowa, zaczęły nas gończe listy ścigać znowu z zaproszeniem na misyę i to poważną w Męcinie, najbliższem sąsiedztwie Pisarzowej. Jakoś nam się sprawy nie składały: siły trzeciej nie było pod ręką, zresztą na jedną misyę tak daleko wyjeżdżać co prawda, nie chciało się; poza tem wszystkiem prace w Kró-

lestwie tylko wisiały, lada chwila spodziewano się wezwania i z tego znowu względu trzymaliśmy się w rezerwie, a misyę w Męcinie odkładaliśmy z tygodnia na tydzień, byleby się przed wizytą kanoniczną odbyła.. I tak odwlekła się aż poza maj.

Na Zielone Świątki przypada rok rocznie pierwszy wielki odpust w Odporyszowie, który od 1. listopada 1905. nasi w opiekę wzięli. Jest to filia do parafii Żabno obok Tarnowa. Kościół wybudowany w r. 1672. słynie daleko po okolicy obrazem cudownym Najśw. Panny Maryi. Pierwotny drewniany kościółek zbudowali Polacy w dowód wdzięczności dla Najśw. Panny, że za Jej przyczyną nieprzyjaciela na głowę pobili po kilkakroć i to w chwilach krytycznych. Ostatni raz odparli Szwedów za Jana Kazimierza. Wdzięczność ta tradycyjnie utrzymuje się i przechodzi z pokolenia na pokolenie, czego dowodem nieprzeliczone tłumy pobożnego ludu, nawiedzającego to święte miejsce na każdy odpust. W miejsce dawnego drewnianego wybudowano w r. 1672 murowany obecny kościół, a obok niego wspaniałą wieżę, w której dla tysiącznych tłumów w czasie odpustów msza św. się odprawia. Jeden z poprzednich proboszczów, ks. kanonik Morgenstern, pobudował w sąsiednim lasku kaplice na wzór kalwaryjskich. Stylu, estetyki jakiej na próżno tu szukać; zato wszystko tem droższe tutejszemu ludowi, że proste a swojskie. Używano rozmaitych sposobów, żeby tym zbiegowiskom ludu przeszkodzić, nie dało się. Dziś ludowcy wyśmiewają te pochody, radziby ludu na to miejsce nie dopuścić — i to nic nie pomaga, owszem tem liczniejsze nadciągają kompanie. Był tu jeden tylko ksiądz, który zaledwie podołał w zwykłe dni zadość uczynić potrzebom parafii; a przyszedł odpust, to i nie wiedział, czego się pierwej jąć, a lud biedny chodził jak błędne owce, nie mogąc sumieniu i sercu ulżyć...

Pocieszyli się bardzo i miejscowi i okoliczni parafianie, kiedy tu Zgromadzenie nasze osiadło z woli Najprzew. ks. biskupa Wałęgi. Zamieszkał tu naprzód ks. Krzyszkowski jako

superyor tego nowego domku i braciszek, po kilku miesiącach przydano mu jako towarzysza pracy ks. Słupińskiego.

W roku 3 odpusty wypadają w Odporyszowie: 1. na M. Boską Gromniczną, tytuł kościoła — odpust dla swoich; 2. na Zielone świątki, 3. największy na Narodzenie Matki Boskiej. Na dwóch ostatnich liczba pątników dochodzi 40 do 60 tysięcy. Kiedy Zgromadzenie to miejsce objęło, to i łatwiej potrzebom takich mas ludu uczynić zadość. Ciągną też Konfratrzy i ze sąsiedniego Tarnowa i jeszcze liczniej z 3 domów krakowskich i świeccy księża sąsiedni dzielnie, poważnie dopisują, mając znowu na wypadek odpustów u siebie zapewnioną sąsiedzką pomoc ze strony Konfratrów odporyszowskich.

Pierwszy w tym roku odpust na M. B. Gromniczną odbył się dosyć skromnie, bo tak i po inne lata bywało... Z Misyonarzy byli tu: ks. Włodarczyk z kazaniem z Nowej Wsi Narodowej, ks. Domoradzki ze Stradomia słuchał spowiedzi, a niżej podpisany ze sumą; świeckich księży było dwóch.

Teraz na Zielone Świątki zjechało nas znacznie więcej; ks. Szymbor miał 2 kazania — niżej podpisany również 2 razy przemawiał — ci z Kleparza, ks. Włodarczyk z Nowej Wsi Narodowej 1 raz i ks. Steinsdorfer 1 raz przemawiali. Świeckiego kapłaństwa również poważny zastęp przybył, chociaż im tak trudno przy większem święcie parafię opuszczać. Tu odpusty — to jak misya jaka już teraz, chociaż jeszcze pomieszczenia niema odpowiedniego, ani się nie da odgadnąć, kiedy i ile narodu nadciągnie... Takeśmy w tym Odporyszowie pracowali od piątku 1. czerwca do środy po Zielonych Świątkach. Ile dusz słowem Bożem się pokrzepiło, sakramentami św. zasiliło, tego trudno cyframi objąć.

Księża się rozjechali — a nam jeszcze na głowach pokutowała misya w Męcinie. Kiedy znikąd nie można było pomocy uprosić, ks. sup. Krzyszkowski, lubo sam zmęczony do ostatka po takiej pracy przy odpuście, chętnie się do nas przyłączył i poratował sytuacyę. Niech mu to sam św. Wincenty nagrodzi!

Deszcz lał niemiłosiernie, a myśmy się wybrali do Tarnowa, skąd pociągiem przez Stróże do Męciny. Burza ulewna towarzyszyła nam całą drogę. W wagonie pół biedy, bo tylko smutno się jechało; ale na miejscu kłopot czysty i całkowity: mostki pozrywał górski potok, drogi poobrywał, zalał — ani się dostać do plebanii. Objeżdżaliśmy dworami, światami, zmoknięci, zmarznięci... aż wreszcie stanęliśmy przed plebanią. Przywitał nas staruszek, ks. kan. Klimkiewicz, pogwarzyliśmy nieco, ułożyli plany. Tymczasem dzwonią i dzwonią w kościele na zaczęcie misyi. Jak parafia stoi, chyba tu jeszcze misyi nie było, przynajmniej najstarsi jej nie pamiętają.

W kościele zebrało się nieco ludzi i z nimi zaczęliśmy pracę wieczorem; inni tymczasem siedzieli po drugiej stronie potoku i biadali, że się nie mogą dostać do kościoła, bo woda wezbrała. Lud misyi spragniony, ziemia to, jak się wspomniało, nietykana, więc wypadło na tydzień pracę rozłożyć. Tu znowu bieda, bo ks. Krzyszkowski obiecał u sąsiada kazanie na św. Trójcę i nie mógł tak długo zostać z nami. Poradziliśmy sobie w ten sposób, że na wieczorne nauki zwoływaliśmy wszystkie stany — i były w pierwszej seryi po 3 nauki dziennie; a kiedy ks. Krzyszkowski odjechał zostało nas dwóch, po 2 razy tylko mawialiśmy. Spowiedzi szły ciężko — gruntownie. Wyspowiadało się kobiet i dziewcząt 750, gospodarzy i chłopaków 600, nauk powiedzieliśmy w Męcinie 19. Dnia 11. czerwca skończyliśmy wieczorem misyę, pokończyło się resztę spowiedzi a na drugi dzień wróciliśmy znowu przez N. Sącz-Tarnów do Krakowa.

Krystynopol i Choderkowce. W kronice naszej misyjnej następują teraz misye w Królestwie Polskiem przez nas zeszłego roku dawane. Podawszy ich opisy poprzednio, niema co do nich wracać, chyba westchnąć, żeśmy się tam ciężko napracowali, wiele zdrowia stargali, oby to wyszło Bogu na chwałę, duszom na pożytek, nam na zasługę przed Bogiem!

Po powrocie z tamtych misyi przeznaczono mi inne zajęcie: pilnować parafii i domu w Jezierzanach. Zajęć tu drobiazgowych wiele; ale przytem wszystkiem trudno mi było

przynajmniej na razie przyzwyczaić się do życia parafialnego. Raz po raz i stąd wychylałem się to z pomocą na odpusty, to z rekolekcyami po domach Sióstr, a nawet 2 razy udało mi się jeszcze misyonarskiego polotu spróbować: raz w Krystynopolu, drugi raz w Choderkowcach.

Poprzednik mój, ks. Buchhorn, obok urzędu superyora domu i proboszcza parafii był także dyrektorem misyi wschodnich. Przybywszy po nim do Jezierzan zastałem kilka próśb ks. ks. proboszczów o misye. Nie marząc nawet, że jeszcze kiedy do misyi się nadam i nie mając po temu czasu, odesłałem te wszystkie prośby, gdzie należało. Przyszedłszy nieco do siebie na świeżem, zdrowem, podolskiem powietrzu, otrzymuję znowu list od ks. sup. Koniecznego z Witkowa, żeby jechać na misyę do Krystynopola. Jakoś mnie chętka zebrała spotkać się ze starym druhem, popracować znowu na niwie misyjnej — i pojechałem. Zjechało się nas trzech: ks. Konieczny z Witkowa, ks. Szymbor z Kleparza, a ja z Jezierzan.

Zaczęliśmy pracę w sam św. Michał na sumie... Pierwszy dzień był jakby ogólnem do misyi zagajeniem, przez 3 dni następne pracowaliśmy na ambonie i w konfesyonale, po 3 nauki dziennie miewając i ekshortę. Pogoda sprzyjała przez cały czas, to i lud mógł się wygodnie zbierać na nauki; nie było co dzielić, bo parafia niewielka a kościół obszerny. Zakończyło się wszystko odpustem, przypadającym w dniu św. Franciszka serafickiego, patryarchy OO. Bernardynów (Br. Mniejszych), którzy tą parafią zarządzają. — Z tego też względu z praktyk pobożnych polecaliśmy parafianom tutejszym najwięcej tercyarstwo. Zapisało się coś 300 osób do rodziny św. Franciszka. Wyspowiadało się w Krystynopolu 1000 osób ob. łac. a Rusinów nie wiadomo ilu..., bo sami OO. Bazylianie ich spowiadali i komunikowali po swojemu — bez rachunku.

W adwencie znowu wyjechałem do Choderkowiec-Sokołówki, zaproszony przez naszego Najczcig. ks. wizytatora Kiedrowskiego z trzydniówką. Miały to być rekolekcye dla Dzieci Maryi tudzież dla braci i sióstr Różańca św. Ale gdzie

się to da w Sokołówce utrzymać granice i puszczać ludzi na rekolekcye za biletami. Tylko posłyszeli dzwonek u kapliczki, biegło co żyło. Przez 3 dni kościółek od rana do wieczora był napełniony. Jedni odeszli, to drudzy nadciągali. Wstępną naukę powiedział ks. Witaszek; tymczasem ja nadjechałem i rozprawiałem po 2 razy dziennie przez 3 dni.

Wyspowiadało się w tym czasie 700 samych łacinników, a Rusinów znowu trudno policzyć. Trwała ta misyjka od 10. do 14. grudnia 1906 r.

Ks. Józef Sokołowicz
n. k. Zgr. Mis.

Sprawozdanie z misyi w Galicyi i Królestwie od jesieni 1906 r.

Głębowice, 27.—31. października 1906. r.

Mało teraz odprawiamy misyi w Galicyi, cały czas pochłania nam Królestwo. Nic w tem dziwnego, bo stosunki u nas bez porównania lepiej ustalone niż tam, potrzeby moralne i religijne stokroć większe pod zaborem rosyjskim niż w Galicyi, praca w Kościele też u nas mogła się lepiej rozwinąć i unormować aniżeli w Królestwie, a jeżeli mowa o misyach, to również wszystkie parafie dyecezyi naszych już je miały, nawet gdzieniegdzie kilkakrotnie, podczas gdy lud w Królestwie nie pamięta misyi, chyba tylko starzy mogliby cośkolwiek opowiedzieć z tego, co im ojcowie ich opowiadali.

Do Głębowic przyjechaliśmy jesienią zeszłego roku, w sobotę 27. października po południu, ale w innym niż dotąd składzie. Dawniejsze kółko misyjne rozpadło się zupełnie. Dyrektor dotychczasowy, ks. Sokołowicz, poszedł na stanowisko superyora do Jezierzan. Ks. Steinsdorfer po misyach w Królestwie wrócił do Białego Kamienia, ks. Mazurkiewicz do Kaczyki a stamtąd do Ameryki Północnej. Cześć im, towarzyszom doli i niedoli misyjnej!

Tym razem było nas trzech, ale każdy skądinąd przybył: ks. Krzyszkowski z Odporyszowa i on objął kierownictwo misyi głębowickiej, ks. Truszkowski z Milatyna, dopieroco przeniesiony na stałe do Krakowa, bezpośrednio przed Głębowicami brał udział w misyi w Pielgrzymowicach na Górnym Śląsku wspólnie z ks. Tyczkowskim i ks. Odrobiną. Trzecim uczestnikiem był niżej podpisany.

Parafia Głębowice obejmuje tylko jedną wieś tejże nazwy. Leży w dekanacie oświęcimskim, w dawniejszem księ-

stwie zatorskiem. Kolej zawiozła nas do Zatora; stąd jeszcze $1 \frac{1}{2}$ godziny jazdy powozem. Ale jakkolwiek to było jesienią, mieliśmy bardzo piękną i przyjemną podróż. Pogoda sprzyjała; zdaleka widać było na wzgórzach Alwernię i ruiny Lipowca. Piękny czas trwał przez całą misyę tak, że nikomu nie było ciężko przychodzić do kościoła. To też wszystko ochotnie spieszyło. Jak tu wszystko odmienne od tego, co nawykliśmy widywać w ciągu pracy misyjnej w Królestwie! Ten ludek może nieco powolniejszy aniżeli ci, do których przemawialiśmy w Królestwie, ale jest tu zato więcej rozwagi, podczas gdy tamci płomiennem odznaczają się uczuciem; tam radzi są, gdy się działa na ich uczucie i wyobraźnię, tu wolą pokarm dla rozumu. Nie dziwię się temu, bo po tylu doświadczeniach i krzyżach, jakie spadały na społeczeństwo Kongresówki, ustawicznie naciągana struna uczucia musiała zmienić psychologię ludzi; przeważa u wszystkich Królewiaków uczucie, może nawet pewne przeczulenie. I zajęcia ich odmienne; nasza Galicya ciągle jeszcze jest przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, rolniczym krajem, Królestwo zaś ma już swój wielki przemysł fabryczny, a my dotąd właśnie pracowaliśmy tylko pomiędzy ludnością fabryczną. I kościoły inne. Tam wspaniałe świątynie, olbrzymie, z wielkim nakładem pracy i pieniędzy pobudowane, u nas przeważnie kościółki ubożuchne, po większej części drewniane, nie duże, ale miłe i chędogie. I księża inni. Wszystko, wszystko odmienne, a więc i sposób odprawiania misyi odmienny.

Tu w Głębowicach odbyła się jedna z takich typowo-galicyjskich misyi. Parafia nieliczna, 1400 dusz licząca, to też po 2 dni dla każdego stanu wystarczyło najzupełniej, tem bardziej, że nie tak dawno temu była tu misya. Zacny i kochany przez swoich parafian proboszcz, ks. Józef Nieć, już przedtem umówił się z sąsiednimi księżmi, którzy obiecali pomoc w spowiedzi św. i wszyscy słowa dotrzymali. Nie było najmniejszej obawy, żeby się nie zdołali wszyscy wyspowiadać, nie było tyle różnych niepokojów i rozentuzyazmowanych tłumów, nie było tego szalonego przeciążenia pracą i wstrzą-

sających wypadków, nie było tej ustawicznej gorączki, która napręża nerwy misyonarza w Królestwie. Tu spokojnie praca misyjna się rozpoczęła, spokojnie się rozwijała i spokojnie zakończyła. Tak cichuteńko dzień po dniu mijał, że z pewnem zdziwieniem stanęliśmy wobec zakończenia misyi. Wyspowiadaliśmy wszystkich (900), ani jeden nie odszedł bez spowiedzi. Zbudowaniem dla parafian był miejscowy dwór; cała rodzina Duninów uczęszczała gorliwie na misye; ani jednej nauki ani jednego nabożeństwa nie opuścili; a kiedy w ostatnim dniu ks. Truszkowski święcił dewocyonalia, każde z dzieci tej rodziny sprawiło sobie coś na pamiątkę i wyciągało rączki z obrazkami, z medalikami i szkaplerzami, żeby też choć jedna kropelka wody święconej na to padła. Mile zapisała się ta misyjka w naszej pamięci i żal się zrobiło, gdy ostatnia godzina się zbliżała. Ks. Krzyszkowski wcześniej odjechał, ponieważ przed 1. listopada we wigilię Wszystkich Świętych chciał być jako proboszcz koniecznie w domu, aby w parafii swej, w Odporyszowie, przygotować wszystko do jutrzejszego święta. My zaś, ks. Truszkowski i ja, wyjechaliśmy nieco później. Niezadługo po misyi opuścił i ks. Nieć Głębowice, przeniesiony na większą i pracowitszą parafię, do Zebrzydowic.

II.

Częstochowa, 3—10. lutego 1907. r.

Dla nas Częstochowa przedewszystkiem jest świętem miastem i kiedy mowa o Częstochowie, to w myśli naszej od razu na pierwszy plan wysuwają się cechy jej świętości tak wybitnie, tak wyłącznie, że o wszystkiem innem, co tu jest, czy byćby mogło, zapominamy zupełnie. Wyobrażamy sobie zaraz Matkę Boską Częstochowską, obronę Częstochowy, Kordeckiego i tysiące łask, jakie Matka Najświętsza z Jasnej Góry rozsiała hojną ręką po całej Polsce. Za szczęście, jeżeli nie za obowiązek, uważa sobie każdy z nas być choć raz

w Częstochowie, a kiedy się tu wybiera, to nie po co innego, jak tylko po to, by hołd złożyć Królowej Korony polskiej. Z wszystkich stron Polski, z najdalszych ich zakątków przybywają rok rocznie setki tysięcy pobożnych wszelkiego wieku i stanu — i w pierwszej chwili nie powstaje nawet posądzenie, żeby w tej Częstochowie mogło być coś poza świętością. A jest tu, jest niestety jeszcze i coś innego. Gdzie są ludzie, tam się i grzechy znajdą. I nas Misyonarzy po raz pierwszy zwabiła jej świętość, wtedy, gdyśmy wśród misyi w Zagłębiu Dąbrowskiem tu przybyli pokłon oddać Matce Najświętszej, a drugi raz sprowadziło nas tu to, co Częstochowa ma nieświętego, przyszliśmy spełnić posłannictwo Jeremiaszowe: „wyrywać i kazić i wytracać i rozwalać i budować i sadzić“ (Jerem. I., 10).

Przyjechaliśmy do Częstochowy w sobotę, 2. lutego b. r., we wieczór o godz. 10. Było nas tylko dwóch: ks. Rossmann i ja. Miał przybyć pociągiem od Prus jeszcze ks. Truszkowski, ale nie załatwili urzędnicy konsularni na czas jego sprawy paszportowej, nie mógł przejść granicy i daremnem było nasze oczekiwanie.

To, cośmy tutaj zrobili, to nie była misya we właściwem słowa znaczeniu, to tylko rekolekcye dla robotników, zorganizowanych przez ks. Jakowskiego i ks. Zawadzkiego. Ks. Jakowski, młody jeszcze kapłan, pełen zapału, energii niespożytej i poświęcenia dla sprawy robotniczej, ma już dziś imię w całem Królestwie Polskiem i czem Jezuici Kolb i Abel we Wiedniu, czem ks. Hitze w południowych Niemczech, czem ks. Godlewski w Warszawie, tem ks. Jakowski dla robotników w Częstochowie. Zdołał on dotąd zorganizować jeden związek robotników, drugi robotnic i powołał do życia stowarzyszenie matek chrześcijańskich. Dla tychto trzech związków przeznaczone były nasze rekolekcye.

Misye tu zresztą na razie wprost niemożliwe, chyba na samej Jasnej Górze, w kościele OO. Paulinów, ale w kościołach parafialnych absolutnie nie. Są w Częstochowie 2 parafie: jedna św. Zygmunta, licząca przeszło 60.000 parafian,

druga św. Barbary, ma drugie tyle; oprócz tego przedmieście Częstochowy, Raków, ma filię z mniej więcej 20.000 tysiącami. Są kościoły w każdej z tych parafij, ale za małe na misye. Parafia św. Zygmunta zwłaszcza ma tak mały kościół, że najwyżej 2.500 pomieści; buduje się wprawdzie nowy, wspaniały i olbrzymi, największy na całym obszarze Królestwa, ale parę lat mu jeszcze do wykończenia. Umarł w maju już w 3 miesiące po naszych rekolekcyach proboszcz parafii św. Zygmunta, ks. prałat Waberski, może nowy proboszcz, którym ma być czynny i ruchliwy ks. Fulman z świeżym zapałem podejmie sprawę dalszej budowy, a wtenczas, gdy będzie gotów, pomyśli i o misyach, jak nam sam mówił w Kamieńsku, dokąd przybył na misye.

My tymczasem, razem z naszymi spracowanymi rekolektantami musieliśmy się gnieść i pocić w ciasnym popaulińskim kościele parafialnym św. Zygmunta. Ścisk był okropny. Samych stowarzyszonych jest kilka tysięcy; wszyscy przybyli. Skoro się wszakże rozeszła wieść o rekolekcyach po mieście, gdy zaczęto sobie opowiadać, jak i co mówiono z ambony, zaczęli się i inni interesować rekolekcyami i Misyonarzami, coraz większe tłumy napływały. Rozdzieliliśmy je na 2 części, na seryę męską i żeńską. Wbrew utartemu u nas zwyczajowi, rozpoczęliśmy tym razem od mężczyzn.

Musieliśmy się stosować do potrzeb miejscowych — a te są liczne i przytem wielkie, gwałtowne. Do najbardziej palących należy stosunek do socyalizmu i socyalistów. Na wpływy socyalistyczne są tu wszyscy narażeni a wiadomo dobrze, jak wpływ ten ogromnie wszędzie osłabia wiarę, i choćby jej wcale nie zamierzał wydrzeć robotnikowi i zupełnie zniszczyć (jak o tem ciągle zapewniają tutejsi pepesowcy), to przecież kurczy ją w sercach katolickich, krępuje i ubezwładnia i pozbawić ją chce wszystkich wyższych objawów zewnętrznych. Nie mówię już o przywiązaniu do Kościoła i do duchowieństwa, które wprost wygasa tam, gdzie socyalizm korzenie zapuścił! Z tą okolicznością musieliśmy się tutaj liczyć i starać się tak zgubnym wpływom tamę położyć. Wprawdzie w pier-

wszym rzędzie przemawialiśmy do robotników „Stowarzyszenia katolickiego“, a więc, zdawaćby się mogło, względu tego wcale nie potrzeba było brać w rachubę, boć to organizacya zasadniczo katolicka, gdzie socyalizm niema zwolenników. Prawda to, ale ten katolicki robotnik niedawno jeszcze należał do pepesowców (polska partya socyalistyczna P. P. S.) lub esdeków (socyalna demokracya S. D.) czy postępowców (polska partya postępowa P. P. P.) i tam nasłuchał się wielu mówek, których echo dziś jeszcze mu brzmi nie w uszach to w duszy; ten robotnik katolicki uczęszcza do fabryki, w której cały dzień pracuje wspólnie z kolegami z obozu socyalistycznego, a ci żadnej okazyi nie pominą, by nie zachwalić swych przekonań i zasad i nie zakpić z przestarzałych przesądów kościelnych i katolickich; ten robotnik katolicki w dziesięciu i stu wypadkach na dzień w atsmosferze, przesiąkłej agitacyą partyjną, nie wie, co sądzić o czynach i ludziach, na których patrzy, o zdaniach, hasłach, i mowach, które słyszy; jemu trzeba dopomagać w uformowaniu sądu, trzeba mu dodać otuchy, ducha w nim podnieść, trzeba mu powiedzieć, że on ma słuszność, gdy staje na gruncie zasad katolickich czy przykazań, a nie socyał, choć krzyczy i hałasuje, drwi i urąga, trzeba, żeby robotnik katolicki nie tylko był katolickim, ale żeby na tym gruncie zasad i obowiązków katolickich czuł się pewnym, silnym i odpornym, żeby dotkliwe ciosy szyderstwa, deprymującej pogardy i wściekłej nienawiści umiał nie tylko cierpliwie znosić, ale i dzielnie, mężnie odpierać. Widzieliśmy to już na misyach w Zagłębiu Dąbrowskiem, że socyaliści mieli przewagę nie tyle wskutek własnej siły i potęgi, ale przedewszystkiem dlatego, że strona przeciwna dała się zahuczeć i steroryzować, nie znalazła w sobie tyle męstwa i odwagi, by śmiało stawić czoło i sprzeciwić stanowczo żądaniu przewrotowca. W takiej Pogoni np. 1800 robotników rurkowni dało się nastraszyć i przez parę miesięcy strejkowali bez dostatecznego powodu; nie pracowali jedynie dlatego, że dwu socyalistów z partyi pepesowców zażądało tego z browningami w ręku. A gdy wskutek

misyi nabrali ducha, obejrzeli się po sobie i obliczyli, że ich jest stanowcza większość, gromadnie wrócili do pracy, stworzyli własne związki zawodowe i „towarzyszy“ za drzwi wyrzucili.

Równie zuchwałych i bezczelnie śmiałych bohaterów mają i częstochowskie szeregi partyi socyalistycznych. Mieliśmy próbkę ich bandyckiej odwagi parę miesięcy temu podczas misyi w Dąbrowie Górniczej, gdzie okradli kramarza, wieczorem o godz. 10. a za 2 dni przysłali pokwitowanie odebranej kwoty na ręce ks. proboszcza z podpisem „komitet centralnej P. P. S. w Częstochowie“.

Powiem jeszcze jedno dla scharakteryzowania partyi częstochowskich. W sam dzień naszego przyjazdu do Częstochowy zginął policmajster miejscowy. Dowiedział on się już przedtem, że czyhają na jego życie — dlatego też chciał ujść zasadzki chyłkiem, incognito, wyjechał z Częstochowy, by życie z niej wynieść. Wyniósł je, ale niedaleko. Pilnie strzegło go oko mordercy. Spiskowiec go śledził, szedł za nim, kupił bilet, razem z nim wsiadł do pociągu, pojechał z nim, i we Włocławku rzucił mu bombę pod nogi, która rozszarpała go w drobne kawałki.

Ale nie tylko bomby i browningi, nie tylko mordy, rozboje i kradzieży są w ręku częstochowskich socyalistów środkiem do wywarcia teroru. Mają oni jeszcze inne sposoby. Niedługo przed naszym przyjazdem uchwalili bezrobocie, nie pomnę już z jakiego powodu, czy to było święto ich jakie, czy demonstracyjny manewr, dość, że do strajku wszystkich chcieli zaciągnąć. Niesocyalistom to wieczne próżnowanie nie było na rękę. Poszli więc do fabryk. Ale „towarzysze“ chcą na swojem postawić. Cóż więc robią? Idą do fabryk, biją, ranią, wypędzają robotników i na dobitek przy wszystkich maszynach fabrycznych pootwierali gwizdki, sygnały i wentylatory i w całej Częstochowie i na Rakowie powstał pisk, ryk, huk, syk i gwizdanie nie do opisania. Trwało to dzień cały, bo socyaliści zostawali stale przy maszynach. Chcieli całe miasto pouczyć o swej potędze. Psy wszystkie powy-

chodziły na rynek i na ulice i wyły boleśnie, ludziom chciały się nerwy potargać, i wielu nie mogąc dłużej słuchać tej muzyki powyjeżdżało z miasta — dokądkolwiek, byleby nie być w domu. Nieprzebrani oni w środkach swoich!

Nie mogliśmy w naukach naszych pomijać tak żywotnej kwestyi, jaką jest dla robotników miejscowych stosunek do socyalizmu. Musieliśmy o tem przemawiać do nich. Ale z drugiej strony roztropność nakazywała mówić tak, aby jednych pouczyć i zapalić a drugich nie odstręczyć. A więc z góry powiedzieliśmy sobie, że zrazu omawiać będziemy najzwyczajniejsze tematy, tak jak gdybyśmy mieli przed sobą samych najlepszych i najwierniejszych synów Kościoła, i od czasu do czasu, w ciągu kazania mimochodem tylko wtrącać cośkolwiek o palącej kwestyi. Wykluczyliśmy z nauk wyrazy „socyalizm“ i „socyalista“, wykluczyliśmy też wszystko, co mogłoby choć najlżejszą trącić nienawiścią. W ten sposób staraliśmy się zyskać ich zaufanie dla siebie, a raczej nie dla siebie, tylko dla tego, cośmy głosili, dla zasad katolickich, dla Boga naszego, dla wiary, dla cnoty, dla życia katolickiego — a zyskawszy je najzupełniej, mogliśmy już wieczorem we wtorek, t. j. na 3 dzień, gdy się już serya męska kończyła, otwarcie i szczerze powiedzieć, że do żadnej z partyi socyalistycznych należeć im nie wolno jako katolikom, że związki zawodowe i organizacya są im potrzebne, a nawet są ich obowiązkiem, ale związki katolickie, organizacye katolickie; że wiara, która drzemie w ich sercach a tak często boi się żywym płomieniem zajaśnieć wobec szyderstw bezbożników i przewrotowców, jest najdroższym ich skarbem, którego nigdy wstydzić się nie powinni i t. d. i t. d. Zgadzal się na wszystko, wszystko obiecywali. Powstał zapał w kościele i z piersi 2000 robotników wyrwały się gromkie głosy, wołali i obiecywali wszyscy; wołali i socyaliści, których spora gromada zebrała się wtenczas wieczorem pod chórem w najciemniejszych kątach, nie wiedzieć po co, czy na zwiady tylko czy też żeby rzeczywiście korzystać z nauk Misyonarzy, dość

że i oni głośno wołali, i oni obiecywali, jak nas później zapewniali księża siedzący w konfesyonałach.

Ale niezupełną byłaby nasza wygrana, gdybyśmy chcieli byli poprzestać na tem. Żeby owocom rekolekcyi dać trwałą podstawę, trzeba było zaprowadzić bractwo wstrzemięźliwości. Również wszyscy obiecali się wpisać. Na razie kartek wpisowych nie mieliśmy pod ręką, bo tych wogóle niema w Królestwie, ale ks. Jakowski sprawę przedstawił później ks. biskupowi Zdzikowieckiemu i w drukarni dyecezyalnej we Włocławku wydrukowano je, skąd teraz wszędzie się rozchodzą.

I ten dzień jak każdy inny w czasie tych rekolekcyi zakończyliśmy błogosławieństwem Najświętszego Sakramentu. Na spoczynek udać mogliśmy się dopiero około godziny 11. a nazajutrz przed godz. 4. trzeba było wstawać, bo już o $4^1/_2$ była pierwsza nauka a później msza św. We środę o tej samej godzinie rano była komunia św. generalna dla mężczyzn, przemowę miał ks. Rossmann. Tego porządku i tych godzin musieliśmy się przez cały czas trzymać.

We środę rozpoczęła się serya żeńska. W czasie seryi męskiej mieliśmy dużo pracy, ale porządek wzorowy. Co tylko było rozporządzonem, do tego ściśle stosowali się mężczyźni i nie było kłopotów żadnych. Skoro tylko nastała serya kobiet, wszelki porządek był niemożliwy. Zaraz zrana zaczęły się tłumnie schodzić, powstał ścisk, zgiełk w kościele, a od wszystkich drzwi napływają nowe fale niewiast. Wkrótce zaczęły jęczeć i omdlewać, wszakże nikt nie wychodzi, przeciwnie od zewnątrz napór coraz większy. Już pomiędzy niemi powstały spory i nieporozumienia, jedna narzeka na drugą. Wszelkie usiłowania księży, by porządek zaprowadzić, na nic się nie zdały, nie podobna nawet wrzawy tej przegłuszyć. Jedyny sposób wyjścia był ten, żeby tłumy te rozdzielić na dwie części i tak też zarządził ks. Rossmann; jedna część pozostała w kościele, a druga poszła na salę „Stowarzyszenia“. Nam oczywiście wskutek tego pracy przybyło w dwójnasób, bo musieliśmy przemawiać i tu i tam. Oprócz tego

istnieje tu, jak już zaznaczyłem, — „Stowarzyszenie matek chrześcijańskich“ i dla nich ks. Rossmann specyalnie miewał nauki.

Wogóle mawialiśmy w Częstochowie po 4 do 6 razy dziennie tak, że na każdego z nas przypadało 2 względnie 3 nauki codzień wygłosić.

W przedostatnim dniu, w sobotę 9. lutego przybyło jeszcze pracy, bo po kolacyi poszliśmy wszyscy, i Misyonarze i miejscowi księża, spowiadać robotników z fabryki szkła, którzy kiedyindziej przyjść nie mogli. Spowiadaliśmy wtedy aż poza 12 godzinę w nocy; a warto było dla nich to zrobić, bo jak dowiedzieliśmy się od tutejszych księży, w tej fabryce jest bardzo wielu zagorzałych członków polskiej partyi socyalistycznej. Takie zapewnienie oczywiście najzupełniej było dla nas wystarczającem, by tym ludziom, którzy teraz (może po długich latach zapomnienia) przypomnieli sobie swe obowiązki względem P. Boga, podać sposobność do szczerego z Nim pojednania.

Ilości wszystkich wyspowiadanych niepodobna było dokładnie obliczyć. Możemy tylko powiedzieć, że było ich dużo, w przybliżeniu 3000.

Jednem słowem, tak zaprzątnięci byliśmy od wczesnego rana aż późno w noc, że nie mieliśmy ani jednej chwili swobodnej. Codziennie obiecywaliśmy sobie, że jutro pójdziemy na Jasną Górę pokłonić się Matce Najświętszej. Wszakże kiedy jutro przyszło, był taki nawał pracy, że szkoda nam było i kilku minut straty i tak nam zeszedł cały tydzień; z przykrością musieliśmy wyrzec się przyjemności oglądania Matki Boskiej Częstochowskiej, nie byliśmy u Niej. Dopiero w ostatniej chwili, gdy już jechaliśmy na dworzec kolejowy a spostrzegliśmy, że jeszcze $^1/_2$ godziny czasu do wyjazdu pociągu, kazaliśmy się zawieść na Jasną Górę, aby bodaj zdaleka, bo z chóru, popatrzeć na Matkę Najświętszą i zasłać Jej ukłon i pozdrowienie. Smutno nam było i niewymownie przykro, że to tak krótko trwało a tak mimochodem było zrobione, ale nie mogliśmy inaczej.

III.

Piotrków, 17—23. lutego 1907. r.

Na pierwszy tydzień wielkiego postu zawezwano nas do Piotrkowa gubernialnego, mającego tak świetne wspomnienia z przeszłości, bo tu od XV. w. zjeżdżali się posłowie sejmikowi na walne sejmy i również od czasów Jagiellońskich odbywały się elekcye królów, tu w późniejszych czasach urzędowały trybunały koronne, tu też na synodach prowincyonalnych roztrząsano sprawy Kościoła polskiego. Dziś blask ten śniedzią jest pokryty i Piotrków jest sobie większem miasteczkiem na prowincyi z siedzibą gubernatora, ma całą plejadę urzędników, kilka szkół średnich i pensyonatów, kilka fabryk, 3 czy 4 kościoły katolickie i jeden luterski i trochę wspomnień o dawno minionej świetności. Oto Piotrków, w którym mieliśmy pracować.

Tu także rekolekcye robotnicze. Były one umówione już w czasie pobytu naszego w Częstochowie, gdzie również stanął układ o Nowo-Radomsk. Ks. Chwiłowicz, prefekt kościoła pofranciszkańskiego i prezes stowarzyszeń robotniczych w Nowo-Radomsku i ks. Lipiński, organizator robotników piotrkowskich, przyjechali do nas do Częstochowy i każdy z nich prosił o podobne rekolekcye dla swoich „robociarzy“, jak się tu powszechnie nazywa organizujących się robotników.

Tu w Piotrkowie też nas tylko dwu pracowało: ks. Truszkowski i ja. Nie rozpoczęliśmy swych czynności w sobotę w dzień przyjazdu, bo późnym przyjechaliśmy wieczorem, lecz dopiero nazajutrz w niedzielę w czasie sumy. Jakkolwiek zrazu miały to być rekolekcye wyłącznie dla robotników, to przecież wkrótce okazało się, że trzeba ramki tego programu rozszerzyć, a to dlatego samego, że ostatecznie tych „robociarzy“ tu tak bardzo dużo niema, a powtóre, że inni także pragnęli skorzystać z tej okazyi — i rekolekcye robotnicze zamieniły się w rekolekcye parafialne. Kościół jest znacznie obszerniejszy niż kościół św. Zygmunta w Częstochowie, ale dla całej parafii i tak bezwarunkowo za mały.

Jest to ów stary, historyczny kościół, w którym za lepszych jeszcze czasów odbywały się synody biskupów polskich.

Napływ ludności był olbrzymi. Niezmiernie wszyscy żałowali, że kościół za mały. Ścisk był tak wielki, że co chwila kogoś wynoszono zemdlałego. W pierwszej seryi widywaliśmy przy wielkim ołtarzu nawet kornety od czasu do czasu. Są bowiem w Piotrkowie Siostry Miłosierdzia; jest ich pięć i mają szpital pod swoją opieką. Nie dziwiliśmy się zresztą niewiastom, że tak skwapliwie spieszą do kościoła, ale zbudowani byliśmy, kiedy nadeszła serya męska a do ambony ani przedostać się nie było można; od wielkiego ołtarza, od samej mensy aż do wielkich drzwi, od jednej ściany do drugiej tak szczelnie wszystko zajęte, że niema gdzie i szpilki wetknąć. Drzwi pootwierane wszystkie, przeciągi straszne tak, że co chwila chrypa gardło chwyta, ale trudno na to zważać kaznodziei, bo tam we drzwiach i jeszcze dalej na podwórzu mnóstwo mężczyzn stoi i szyję wyciąga naprzód, ażeby bodaj cośkolwiek z kazania pochwycić. A zimno było, mróz cięty. Przebierają nogami, bo ziębi ich, marzną im nogi, śnieg na ich odkryte głowy sypie, ale oni przecież wytrwale słuchają. Wewnątrz w kościele znowu wszyscy się pocą; leje się pot czarnemi strugami z tych poważnych, spracowanych twarzy. Para bucha chmurami całemi przez drzwi otwarte. Wszystkich oczy zwrócone do ambony, wszyscy wytężają słuch i uwagę, zdaje się, pochłaniają słowa kaznodziei. To Misyonarz mówi im o gorzałce, jaki to obrzydliwy trunek, jak się żydzi na nim bogacą, ile brzydactw do niej dodają. Mówi im obrazowo, plastycznie, by zohydzić pijaństwo. Robotnicy aż pluli z obrzydzenia. Znowu słuchają z napiętą uwagą. Wszystkich oczy wlepione w Misyonarza, wszyscy słuchają. Powstawali i księża w konfesyonałach, przestali spowiadać, słuchają i oni. Nagle bowiem na ambonę coś padło i ze stukiem stoczyło się po stopniach na posadzkę. Przerwał na chwilkę kazanie ks. Truszkowski, w kościele cisza, wszyscy przypuszczają, że to może jakaś sprawa socyalistów... Podniósł to wreszcie ktoś i zaniósł na ambonę. Nie była to żadna za-

sadzka bandytów, żadna bomba, jeno najniewinniejsza w świecie... główka aniołka gipsowego, który nad amboną był umieszczony.

Był czas, że i w Piotrkowie powodzenie mieli towarzysze z pod czerwonego znaku, ale dziś stanowczo górę wzięła nad nimi demokracya narodowa i ona usiłuje wyrównać wszystkie nieporządki społeczne i nieporozumienia, wynikłe między robotnikiem a fabrykantem. Właśnie podczas naszych rekolekcyi zastrajkowali robotnicy w wielkim browarze Braulińskiego. Strajkiem kierował wydział narodowej demokracyi. W obawie o swoje przedsiębiorstwo uciekł się zarządca browaru do księży z prośbą, żeby zażegnać burzę a przynajmniej podjąć się pośrednictwa pomiędzy „robociarzami“ a panami. My z góry oświadczyliśmy ks. Lipińskiemu, prezesowi związku, że w tę sprawę wcale wglądać nie myślimy, aby się przypadkiem nie zdawało, że stajemy w obronie interesów pańskich, że „z panami trzymamy“. Najlżejszy pozór tego tak dziś niebezpiecznego zarzutu starczyłby najzupełniej, aby wpływ nasz na lud sparaliżować, zresztą trudno w jednej chwili rozstrzygnąć, która strona ma racyę.

Mieliśmy inną przeszkodę do zwalczania. Równocześnie z naszemi odprawiały się w Piotrkowie inne misye. Oto w 2. czy 3. dzień naszej pracy zjechała tu z wykładem jedna z tych apostołek, co społeczeństwu chcą poza Bogiem wskazywać nowe drogi postępu. Ale nie zaszkodził sprawie Bożej ten manewr. Ci, którzy poprzednich dni uczęszczali na nasze nauki i potem przychodzili, a wielu z tych, co wczoraj słuchali gorącej mówki o zgubnym wpływie duchowieństwa, można było zauważyć nazajutrz w kościele; ciekawość ich przyprowadziła, a tu czekała na nich łaska.

Gorszym od tego chwilowego jest tu wpływ stały „Myśli niepodległej“. Wściekła nienawiść do wszystkiego, co kościelne, co katolickie, co nadprzyrodzone, co Boże, cechuje to bezecne piśmidło. Niestety, liczy ono tu bardzo wielu prenumeratorów a więcej jeszcze czytelników. Mimo tylu ujemnych prądów przecież zwyciężyła łaska Boża. Ciągle kościół

był nabity i znowu odzywały się żale i skargi u najobojętniejszych nawet, że kościół taki mały. Zimna, chłodna, nieskora do naprzykrzania się Panu Bogu inteligencya tutejsza, również się animowała, mówiono o osobnych rekolekcyach dla inteligencyi, ale „evangelisare pauperibus“ jest pierwszem naszem zadaniem, a zresztą nam trzeba było spieszyć na inne pole pracy, do Przeworska, gdzie Konfratrzy już od tygodnia byli zajęci.

W tej seryi męskiej punkt ciężkości przesunęliśmy na wieczór. Do południa było tylko jedno kazanie, we wieczór dwa. Przez cały dzień spowiedź. Czas wieczorny od 6. godz. począwszy był dla robotników najstosowniejszy. Po pierwszem kazaniu wieczornem prześpiewali 2 lub 3 zwrotki pieśni „My chcemy Boga“, aby uwaga ich natężona mogła cokolwiek spocząć. Jest to pieśń, która dla katolików ma być tem, czem „Czerwony sztandar“ dla socyalistów. Znalazło i uczucie ich, którem wezbrała pierś podczas kazania, ujście dla siebie w tej porywającej pierś. Z taką mocą, z taką potęgą, tak szczerze, tak z całego serca i z pełnej piersi śpiewali, że aż ambona drżała. W oczach ich można było wyczytać, że w tej pieśni przysięgali Bogu wierność i miłość, wyrzekali się wszelkich postronnych wpływów wrogów Bożych, a kiedy wracał refren „My chcemy Boga, my poddani, On naszym królem, On nasz Pan“, zrywało się nowe uczucie, które z siłą huraganu dobijało się do nieba i składało hołd poddańczy Wszechmocnemu. Zaraz potem wstępował drugi Misyonarz na ambonę. To kazanie drugie kończyło się błogosławieństwem Najśw. Sakramentu. Następowały jeszcze modlitwy wieczorne i wreszcie mogli pójść wszyscy do domu. Ale była też już 9. lub 10. godzina. Gdyby im mówić do północy i dalej, z pewnością pozostaliby w kościele; głośno nawet odzywało się wielu z tem, że żal im wychodzić, chętnieby tak do rana słuchali.

Księża okoliczni, którzy tu chętnie i licznie spieszyli z pomocą w spowiedzi św., widząc owoce wielkie tych ćwiczeń duchownych, zapragnęli też dla swoich parafii Misyo-

narzy. Już tutaj zaprosił nas ks. dziekan Jankowski na misyę do Kamieńska, a ks. Grocholski, katecheta gimnazyalny w Piotrkowie i zarazem proboszcz w Sulejowie na drugą do poblizkiego Sulejowa.

Ks. W. Szymbor.

(Dokończenie nastąpi).

List Siostry Moniak do Redakcyi.

Shanghai, 10. stycznia 1907 r.

Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa niech zawsze będzie z nami!

W sam dzień Nowego Roku jakby na gwiazdkę z ojczyzny otrzymałam numer październikowy „Roczników". Nie potrzebuję mówić, jak mię to echo z kraju rodzinnego rozrzewniło. Czytałam, przeczytywałam ten zeszyt, dziękując serdecznie Bogu za tyle łask i błogosławieństw. które naszej ukochanej prowincyi udziela i za tyle chwały, którą jej członkowie Bogu przymnażają na ziemi naszej.

Nie chcę być niewdzięczną i dziś za pamięć serdecznie dziękując, przysyłam kilka szczegółów, które mogą zainteresować.

Na czele powiem, że u nas żniwo wielkie a robotników mało; pewnie jest to pieśń, powtarzana na całym okręgu ziemi, i dlatego niewielkie robi wrażenie. Przytoczę jednak na dowód jeden przykład: ks. Azinelli sam jeden ma 40 kaplic, a więc nie często biedni chrześcijanie mogą widzieć u siebie Misyonarza. Aby zaopatrzyć chorego, potrzeba czasem 4 dni marszu albo, jak tu nazywają „charette": rodzaj wózka o jednym kole, który jeden człowiek powozi. Trafia tu się znaleźć bonzów przy łożu umierającego chrześcijanina. których gorliwi sąsiedzi poganie sprowadzili, widząc, że kapłan nie przybywa — aby chory nie umarł bez modlitwy. Opowiadał mi Mgr. Ferrant, że na obszarze, gdzieby pewnie stu kapłanów miało dosyć pracy, jest jeden jedyny ks. Fatiguet. Wobec obecnych stosunków we Francyi powołania nie pomnażają się. W seminaryum, założonem przez śp. O. Boscat jest obecnie 3 Chińczyków, a na studyach, zdaje mi się, 13 alum-

nów, z których połowa Chińczyków. Shanghai jest pod opieką OO. Jezuitów. Ks. Ks. Misyonarzy mają tu tylko tak zwaną „procure“. Razem z ks. wizytatorem jest trzech księży i dwóch braci. Ślęczą tu oni nad rachunkami w domu wilgotnym, ciemnym, niezdrowym. Z obawy, żeby ich rząd francuski stąd



Szpital Sióstr Miłosierdzia w Shanghaju: 1. Pawilon I. klasy. — 2. Pawilon II. klasy: sala operacyjna, na dole sala ubogich. — 3. Drugie piętro: sala dla marynarzy, gdzie pielęgnowano rannych rosyjsk. żołnierzy; pierwsze piętro: sale III. klasy; na dole apteka. — 4. Obecnie oddział dla kobiet, dawniej mieszkanie Sióstr. — 5. Dom centr. Sióstr Miłosierdzia.

nie wypędził, zaczynają w tym roku budowę domu nowego za miastem, na przedmieściu chińskiem, w pobliżu budującego się misyjnego szpitalu OO. Jezuitów, który w tym roku ma być oddany Siostrom naszym w zarząd. Jest to piękny budynek, obecnie o pięciu pawilonach, reszta będzie dobudowana później według potrzeby. Należy tu ogromny obszar ziemi, który będzie obrócony na ogród warzywny, sad i na przechadzkę dla chorych. Będzie to szpital jedynie dla Chiń-

czyków, tak bogatych jak i ubogich. Że Msgr. Paris zażądał Sióstr św. Wincentego do swojej fundacyi, znak to, dobry, bo przecież i inne zgromadzenia są tu w Shanghaju. To też kiedy przed dwoma dniami był u nas z życzeniami Nowego Roku, wszystkieśmy się przedstawiły jako postulantki do nowej fundacyi, co go niezmiernie cieszyło; cichutko nam powierzył sekret, że ma obiecanych kilka z naszego domu.

Nasz dom to prawdziwy labirynt. Mamy tu 18 telefonów, 4 windy elektryczne, dzwonki i oświetlenie elektryczne, kuchnię z ogniskami gazowemi i różne inne dziwy.

Jest nas tu 20 Sióstr, a w roku ubiegłym pielęgnowałyśmy 1410 chorych, z których było 474 katolików, reszta protestantów, żydów, Indyan lub mahometanów. Chińczyków się

tu nie przyjmuje. Od strony zachodniej dom nasz połączony jest galeryą z domem centralnym, w którego pięknej kaplicy codzień dla obydwóch domów odprawia się Msza św. W domu centralnym jest tylko 13 Sióstr, pracujących w szpitalu dla najuboższych tylko pogan, z których co roku przeszło sto umiera; pouczeni o prawach wiary i obmyci wodą odrodzenia, przenoszą się do wieczności. Nadto utrzymuje dom centralny aptekę dla ubogich, którzy znajdują tu poradę i lekarstwa; tu także corocznie około 400 malutkich dzieciaków wysyłają do nieba. Nadto Siostry z domu centralnego przeprawiają się codzień na drugi brzeg Wanpoo do Pontong, gdzie mają codzień przeszło 200 Chińczyków chorych, potrzebujących lekarstwa i porady. Oto mały rzut oka na dzieła i prace rodziny św. Wincentego w Shanghaju.

Opiszę teraz dzionek, który i ja przepędziłam wśród Chińczyków. Dnia 9. grudnia r. z. zostałyśmy zaproszone przez O. Pierre, Jezuitę, na procesyę ku czci Niepok. Poczęcia N. P., która się miała odbyć w Kin-Ka-Hau, miejscowości, położonej o jakich 20 km. od Pontong. Kilka Sióstr udało się do Pontong wczesnym rankiem, my zaś opuściłyśmy nasz dom około 9-tej i tak małym parowcem, który fabryka bawełny pozostawia do dyspozycyi Sióstr, przybywamy do Pontong. Pomimo, że kilka Sióstr zajętych od rana, praca nieukończona, nie można dla swej przyjemności odprawić ubogich, którzy na wieść, że Siostry z wielkiego szpitala z Shanghaju przybyły dzisiaj „*Ta-Isen*“ (sławny lekarz): schodzą się we wielkiej liczbie. Bierzemy więc i my białe fartuchy i rękawy i dalej do pracy, przy końcu której czeka nas Kin-Ka-Hau. W pół godziny chorzy nasi byli obsłużeni, odchodzą, powiadając nam „*Sia-sia*“ „dziękuję“. Układamy wszystko w porządku w aptece, a posiliwszy się herbatą na sposób chiński przyrządzoną i małym *potze*, małe chleby z mąki ryżowej, nadziewane jarzynami. Droga przed nami długa, czekają na nas dwaj Chińczycy z ciężkimi wózkami o jednem kole, ustawiamy na nich nasze koszyki z lekarstwami i inne bagaże i dalej w drogę; mamy tylko godzinę czasu, a przed sobą

20 kilometrów, obawa, że się spóźnimy. Dobry humor jednak nas nie opuszcza. Pontong daleko za nami, a karawana nasza posuwa się ciągle ścieżkami, na których dwie osoby przejść nie mogą. Przechodzimy przez ogromne przestrzenie, pokryte grobowcami z kamieni, gdzie spoczywają dawni właściciele, przez pola ryżowe i mosty, mające tylko 20 do 30 cm. szerokości. Ciekawość nas bierze spróbować kolejno naszych wózków, ale biedne kości nasze za to odpowiadają. Wesołość nas nie opuszcza, szpital daleko, daleko za nami, zdaje się nam, żeśmy go nigdy nie znały. Przechodzimy koło kościółków w Su-ka-tze, Tsun-ka-lu i zdaleka spostrzegamy Kin-Ka-Hau. Msza św. ukończona, kilku chrześcijan biegnie nam naprzeciw, powiadając, że przychodzimy za późno. Przyspieszamy kroku i jeszcze na czas przychodzimy, by otrzymać błogosławieństwo Najśw. Sakram. O. Pierre przechodzi przez środek kościoła, mówiąc do wiernych: „*Hou-a-tzo*“ „wszystko skończone, wychodzić“, a tym samym tonem, nie patrząc nawet w stronę, w której myśmy się znajdowały, odzywa się pod naszym adresem: „Zacząłem za wcześnie, tem gorzej dla mnie, teraz idźcie Siostry za Chinką, w Chinach nie zna się nikogo i nie rozmawia się z nikim“. Chinka zaprowadziła nas do pobliskiego domu, gdzie przygotowywano dla nas śniadanie, ale do stołu dostać się nie możemy. Nigdy tu Sióstr nie widziano, izba przepełniona, oglądają nas, dotykają naszych kornetów, czy nie są z papieru wreszcie odchodzą z krzykiem: „Ich kapelusze nie są z papieru, są z płótna“. Kiedyśmy zaczęły jeść, wykrzykom podziwu końca nie było. Musimy posługiwać się patyczkami i w sposób chiński pić herbatę, bo inaczej nasza sława wielkich lekarzy upadnie, a lekarstwa stracą swą skuteczność.

Przy końcu naszego śniadania izba była przepełniona; aby nas lepiej widzieć, ustawiali się na krzesłach, stołach, nawet na plecach i ramionach jedni drugim. Niepodobna tu umieścić naszej apteki, a jak się stąd wydostać? Wreszcie po wielu trudach dotarłyśmy do ogromnej izby sąsiedniej: stół przed nami, a mur za nami, mamy więc przynajmniej

pewność, że się utrzymamy na swych nogach. Cztery z nas utrzymują stół w równowadze, 3 starsze w okularach zyskały w tej chwili zaufanie ogólne, zaczynają więc rozdawać lekarstwa. „Tego oczy bolą“ ; wydobywa się więc z koszyka piękną butlę, pełną zabarwionej wody na oczy. Wszyscy chcą jej dostać i za kwadrans butla próżna, bo też Chińczycy po większej części cierpią na oczy z braku ochędostwa i złego powietrza w domach. A jaka ufność w tych biednych ludziskach ; z kilkoma pigułkami odchodzą zadowoleni, pewni, że są już zdrowymi, kiedy tylko Siostry małej pomocy udzieliły. Zbliża się jedna kobieta, która się docisnąć nie mogła, a pokazując swojego dzieciaka woła: „*Sing-teng-me*“, „on jest głuchoniemy, dajcie mi jakie lekarstwo“. Żeby jej zawodu nie zrobić, odpowiadamy, że zapomniałyśmy lekarstwa na tę chorobę, ale ona nie ustaje prosić i chce koniecznie uzdrowić swoje dziecko. Mimowoli nasuwał się obraz naszego Zbawiciela Boskiego, otoczonego chorymi nieszczęśliwymi, których apostołowie odsuwali, aby ich Mistrz swobodniej mógł odetchnąć. Ci biedni ludziska w podobny sposób się do nas pchali. Rozdawszy lekarstwa, składamy nasz kosz, bo trzeba myśleć o powrocie do domu, ale czeka nas jeszcze suty chiński obiad. Przyrządzono go w szkole, tym razem pozamykano drzwi, ale to niepomogło; okna oblężone, na ramiona jeden drugiemu wstępuje, aby nas lepiej widzieć. Stół zastawiony, patyczki z kości słoniowej. Próbowałyśmy liczyć potrawy, ale niepodobna, bo coraz nowe przynoszą, figurowała tu przedewszystkiem wieprzowina w rozmaity sposób przyrządzona i zgniłe jaja, przysmak Chińczyków. Siostra Chinka daje nam wskazówki potrzebne, aby nic nie stracić z wielkiej opinii, którą mają o nas, powiada, że potrzeba rozpocząć od słodyczy, cukrów, owoców, a potem przejść do potraw mięsnych i t. d. Wszystko to razem się kładzie na jednym talerzu i zapewniam, że gdyby nie te 20 kilometrów, które z powrotem trzeba jeszcze zrobić, musiałybyśmy drogo ten chiński obiad okupić. Podziękowawszy gościnnym gospo-

darzom za przyjęcie i odwiedziwszy Pana Jezusa w kościele, puściłyśmy się wesoło z powrotem do domu, obiecując sobie, że na przyszły rok, gdy nam Pan Bóg dozwoli zdrowia, znowu sobie tę pielgrzymkę urządzimy. O 5-tej po południu przybyłyśmy do domu, gdzie opowiadaniu o naszych przygodach z tego dnia i końca nie było.

Jak się tutaj przepędza Boże Narodzenie? Jak *Xmas day* w Anglii. Mamy tu 3 msze św. w nocy, w domu centralnym, a 3 rano od 6-tej w naszej kaplicy, zresztą gwar nieustanny z plumpudingiem, z obiadem dla chorych; mnóstwo osób przychodzi do nich w odwiedziny z życzeniami wesołych świąt. Panie Miłosierdzia protestanckie, ze wstęgami z napisem „*In-his-name*“ w „Jego imieniu“, roznoszą chorym kwiaty. Sale chorych, werandy przybrane w tym dniu w girlandy kwiatów, istna komedya, nic to nie mówi o Bożem Dzieciątku. Tylko nasze Siostry Angielki są w zachwyceniu, bo to wszystko jak w ich kraju.

Domownikom naszym w ich oratoryum, gdzie co wieczór wspólnie odmawiają modlitwy, urządziłyśmy piękną szopkę. Najpiękniejszą jej ozdobą były cztery latarnie, dzieło Barnaby, młodego chłopaka. Stanowią one piękną dekoracyę i pouczają zarazem, przedstawiając pochód trzech Królów do Betleem.

Chińczycy są nadzwyczaj zręczni w wyrabianiu przedmiotów z papieru. Z niczego prawie wyrabiają rzeczy bardzo ciekawe, cenione niezmiernie przez ludność tutejszą: cieszą się oni nimi jak dzieci. Przedmioty te podzielić można na 3 kategorye: przedmioty do kultu religijnego, przedmioty latające i latarnie. Chińczycy wierzą, że zmarli zajmują na drugim świecie miejsce podobne, jakie mieli tutaj. Ponieważ umarli żyją poza grobem, potrzeba im dopomagać do wygodnego życia. Nie można żyć powietrzem. Potrawy, złożone od czasu do czasu na grobach, nie wystarczają, aby dogodzić wszystkim zachciankom tych biednych wygnańców. Wymyśleli więc Chińczycy pieniądze papierowe. Paląc je na grobach, napełniają tym sposobem kieszenie zmarłych, co im

pozwala dogadzać wszelkim zachciankom na tamtym świecie. Fabrykują tu nadto z papieru różne sprzęty, które po spaleniu na grobie przemieniają się w prawdziwe. Jest to łatwy sposób wzbogacenia swoich rodziców, krewnych i urządzenia ich mieszkania lepiej, niż na tej dolinie łez posiadaćby mogli. Wyobraźmy sobie wszystkie przedmioty, wyrobione z papieru, domy, stoły, szafy, krzesła, zwierzęta, sługi, powozy, konie, kufry, napełnione ubraniami, wszystko to można dostać na obstalunek. Naprzeciw okien mojej apteki jest pracownia tego rodzaju. Napatrzeć się nieraz nie można tym bogactwom a stary Chińczyk, dumny, że się zwraca na niego uwagę, wiecznie nakleja, popisując się swym artystycznym talentem.

Przed miesiącem była tu kareta europejska, zaprzężona we dwa konie w pełnym biegu, z woźnicą i lokajem: wszystko naturalnej wielkości, a kosztowała 10 dolarów. W dzień oznaczony cały ten materyał przenoszą na grób, ustawiają w stos i palą jak zabawkę dziecinną.

Również ciekawe są przedmioty latające, sporządzane nie tylko dla dzieci, bo i osoby dorosłe chętnie się nimi bawią. W pewnych czasach można w powietrzu widzieć różne przedmioty wewnątrz oświetlone: gwiazdy, ryby, ludzi, smoki, ptaki, meble, zwierzęta, wszystko to naśladowane i dobrze wykonane, a nawet, o dziwy, wiadro, prawdziwe wiadro, unosi się w obłoki, zamiast się spuszczać do studni. Możnaby powiedzieć, że w Chinach, to w chmurach czerpie się wodę. Czasem znowu litery chińskie, które oznaczają całe zdania, wypowiadają wśród nocy niejednemu gorzką prawdę. Donoszą o tem do trybunału, a mandaryn z wielkiem niezadowoleniem czyta z nieba pamflety przeciw sobie samemu. A jak tu znaleźć winowajcę? Ten spokojnie trzymając koniec sznura, siedzi ukryty w jakim kącie. W dzień byłoby łatwiej znaleźć, ale nie wśród czarnej nocy. Dosyć chyba na dziś opowiadania, trzeba zachować coś i na później. Polecam się nadal św. modlitwom, szczególniej w czasie św. ofiary wspomnieć

też proszę o Chince, która jednak nigdy swego zakątka ziemi, swej prowincyi i kochanego Krakowa nie zapomniała i często piosnkę „Nasz śliczny Kraków“, albo „Oj przecudna ta krakowska ziemia ukochana“ sobie zanuci.

S. Moniak.
n. c. m. s. u. i ch.

Dwa listy z Parany do Najczcigodniejszego ks. Wizytatora Słomińskiego.

List ks. Superyora Mięsopousta.

Prudentopolis, 25. kwietnia 1907 r.

Cztery miesiące mijają, odkąd Najczcigodniejszy ks. Wizytator opuścił nasze domy. Niedługi to czas, a jednak tak wiele dokonało się w przeciągu niego, iż chciałbym o tych rzeczach pokrótce donieść.

Na czas, kiedy ks. Wizytator odjeżdżał stąd z żalem żegnany przez nas, a z tęsknotą oczekiwany w Krakowie, przypadała kolęda. Koloniści nadzwyczaj cieszyli się na nią, bo miała to być pierwsza kolęda od czasu założenia kolonii. Jedenaście lat temu sprowadzili się tu nasi rodacy, przypominali sobie, jak to około Bożego Narodzenia kapłan poświęcał ich domy, błogosławił ich dziatki i rozdawał wszystkim pamiątki na znak łączności z ludem, tutaj zaś siedzą sami w lasach, gdzie głos ludzki chyba wtedy usłyszą, kiedy się wychylą poza swoje działy a kapłana zobaczą tylko wtenczas, gdy się pokwapią 4, 5, 6 mil od miasteczka na wysłuchanie mszy św. i oczyszczenie duszy swojej. — Doprawdy pokochać można ten naród, kiedy się widzi tę jego gorliwość, zapał, poświęcenie i ofiarę, którą składa z siebie, gdy podąża do swojego kościółka. Mimowoli przypominają się słowa: *Laetatus sum in his, quae dicta sunt mihi, in domum Domini ibimus.* Rośnie wtenczas serce kapłańskie i wyrywa się ku swoim owieczkom. To też upragnioną była ta chwila dla mnie, kiedy mogłem opuścić nasz domek i wybrać się na kolonię pomiędzy swoich rodaków, aby ich pokrzepić, podnieść na duchu i utwierdzić w ich świętym obrządku. Łzy napływały niekiedy kolonistom do oczu na widok księ-

dza w ich chatce. „Dlaczego płaczecie“, odzywam się do Andrzeja Zielińskiego na linii Paranie — „bo poraz pierwszy widzę księdza polskiego w moim domu“ odpowiada. Niektórzy mieszkają bardzo daleko od linii, w głębi lasów, ale wszędzie zajrzałem, nie zważając na to, że czasem do jednego lub drugiego trzeba było jechać 6 km., a napowrót drugie tyle, jechałem tam, bo uważałem to za swój obowiązek.

Całą kolędę odbywaliśmy tutaj na koniu; mało bowiem jeszcze u nas jest dróg, a i tam, gdzie znajduje się droga wozowa, łatwiej koniem przejechać aniżeli wozem. Kolędę odprawialiśmy obaj: ja i ks. Kandora, ale nim Konfrater nadjechał, większość już objechałem. Najsmutniejszą dla nas było rzeczą, że musieliśmy się wyrzec w czasie kolędy mszy św., bo nie mamy kaplic na liniach, a do domu nie mogliśmy wracać.

Jeszcze do dziś dnia żywo stoi mi przed oczyma wigilia świętych trzech Króli. O czwartej godzinie po południu opuściłem pewną kolonię, aby wrócić do domu z powodu święta. Pogodę mieliśmy wspaniałą, wesoło jechało mi się też w otoczeniu kolonistów, którzy mi towarzyszyli. Przejeżdżając koło domku pewnego Rusina, gdzie leżał ciężko chory Polak, któremu koło złamało nogę, zatrzymałem się tam, aby pocieszyć nieszczęśliwego. Przy odejściu powiedział do mnie: „a możeby ksiądz zechciał wozem moim wracać do miasta“. Zgodziłem się na to, ale nie upłynęła godzina, a zerwała się burza straszna, zaczął padać ulewny deszcz i konie nie mogły się ani ruszyć, bo droga już była całkiem zniszczona. Naturalnie koniki nigdy nie widywały pożywnego obroku. Zaczęliśmy się oglądać za lepszymi końmi; lecz moi towarzysze gdzieś się ulotnili, a koni nigdzie nie mogliśmy dostać, bo już zapadła ciemna noc. Któżby zresztą wtenczas potrafił odszukać konia na przestrzeni 250.000 m^2, na której gospodaruje każdy kolonista? Deszcz nie przestawał padać i nie pozostawało nam nic innego, jak przedrzeć się do domu pieszo przez niesłychane błoto zwłaszcza, że nazajutrz trzeba było bissować i wygłosić dwa kazania: polskie i niemieckie.

Dzień 17. lutego zapisany jest u nas jako bardzo pamiątkowy. Podnosiliśmy wtenczas wiązanie szkoły. Chwilę mieliśmy dnia tego podniosłą, ale zarazem groźną, gdyby coś było wyszło z swojego miejsca, albo gdyby nie były dopisały dźwignie. Niechby się była podobna rzecz stała co przy stawianiu kościoła i niech ręka Boska nie powstrzymałaby dwudziestometrowych belek, wszyscy ludzie byliby zmiażdżeni. Mieliśmy, mówię, chwilę wspaniałą wówczas, ale zarazem poważną, kiedy całe rusztowanie odrazu podniosło się z ziemi i pokazał się dom gotowy. Należało go już tylko obić, urządzić i pokryć. Modliłem się w czasie tej niebezpiecznej pracy do bł. Franciszka Kleta i do Matki Najśw. od Cudownego Medalika, aby zachowała zacnych naszych Polaków od nieszczęścia, a po ukończeniu dzieła zaśpiewaliśmy wszyscy dziękczynną pieśń do Matki Boskiej. Dziś, po dwóch miesiącach, dom prawie ukończony, brakuje tylko jeszcze okien, drzwi i zamków. Dowiaduję się, że Siostry wyjeżdżają w połowie maja. Pewnie przyjmą je tu z otwartemi rękoma, a za ich ofiarę odpłacą im się życzliwością. Dom znajdą wygodny. Osobny zrobiliśmy przedział dla Sióstr tak, iż stanowi pewną klauzurę, gdzie mają dormitarz, izbę zgromadzenia i kapliczkę. U wejścia rozmownica, potem korytarz, a u góry dwa wielkie pokoje 9 m. długie, a 6 m. szerokie na internat. Dom stanął równolegle z plebanią naprzeciwko kościoła, bo plebania potrzebowałaby wielkiego przekształcenia, jeśliby miała służyć za szkołę.

Wspomnę tu nieco także Czcigodnemu ks. Wizytatorowi, jak obchodziliśmy święta Wielkanocne. Napozór zdawałoby się, że nie mam co o nich wspominać, bo uroczystości jednako się pomiędzy Polakami odprawiają. Tu jednak zaszła nowość w tym roku. Polacy nasi mieli grób — znowu poraz pierwszy od czasu wyjazdu z Europy; ołtarz był ślicznie przybrany, nad monstrancyą widniał krzyż z tuwalnią i narzędziami Męki Pańskiej, a u dołu w miejsce figury — Pan Jezus, złożony w grobie, namalowany przez p. Brodziaka. Figury Pana Jezusa zmartwychwstałego brakowało nam

wprawdzie, bo już jej nie zdołał wyrzeźbić nasz artysta, ale zato mieliśmy to, czego w Krakowie na rezurekcyi nie mają: muzykę. Kosztowała nas 30 mrs., ale łatwo je zebraliśmy, bo pp. Kazimierzowi i Szkleniarzowi nikt nie śmie nic odmówić, a p. Lech, zawsze gotowy rzucić 5 lub 10 milów, jeśli o drobiazgi się rozchodzi, bo w rzeczach ważniejszych kładzie na tacę 50 lub 100 milów.

Stosunki narodowe są u nas opłakane. Tak ślicznie wprawdzie rozpoczął Warchałowski pisać po swoim przyjeździe, iż nawet powstała pogłoska, że zamierza wydawać gazetę religijną, a Hempel oddalony na pozór od niego — narodową. Wkrótce jednak wyszedł podstęp na wierzch, skoro tylko zapewnił sobie znowu pewną część abonentów. Niema artykułu, gdzieby na Kościół nie wyjeżdżał, gdzieby nie poniżał Stolicy Apostolskiej, nie umieszczał artykułów, uwłaczających duchowieństwu a głównie nam; nawet otwarcie chwali masoneryę i pisze ludowi o jej zasługach. W walce zaś z nami uważa stronnictwo Warchałowskiego za najodpowiedniejszą broń przedstawiać nas jako nieprzyjaciół państwa.

Posyłam małą, bardzo bladą próbkę działalności Warchałowskiego w Paranie.

Dochodzą nas smutne wieści o prześladowaniu naszem w Poznańskiem; tutaj, dzięki Bogu, użycza nam wolności wspaniałomyślny rząd brazylijski, ale znajdują się indywidua, któreby chętnie chciały nam wydrzeć to, co jest najdroższem po wierze dla narodu. Pewna gazeta ciągle utyskuje nad tem, że obcokrajowcy nie przyjmują zwyczajów brazylijskich, że mówią swoim językiem i nie zlewają się z tutejszym żywiołem; zagląda nawet do mieszkań prywatnych i opisuje, że na ścianach rozwieszają swoich bohaterów narodowych, zdobią je pięknymi wprawdzie widokami, ale nie brazylijskimi, lecz europejskimi. Jedynem pragnieniem tej gazety byłoby, żeby ludy, przybyłe z Europy, zlały się z żywiołem krajowym i utworzyły jeden naród. W dowodzeniu tem posuwa się nawet do twierdzenia, że narody, które drugich nie wchłaniały w siebie, nigdy nie stały się wielkimi i że

państwo pruskie, dążąc do wytępienia Polaków, stoi na gruncie prawnym, a jedynie można mu to zarzucić, że nie przebiera w środkach i posuwa się do barbarzyństwa. Tryumfy święci dzisiaj ta gazeta, kiedy po jej myśli kongres Parański uchwalił poraz trzeci wniosek, zatwierdzony ostatecznie przez wiceprezydenta stanu Joao Candido Ferreira, który Machado dwa razy odrzucał. Według niego ma być we wszystkich szkołach prywatnych wykładany język portugalski. Niewiadomo, jaka jeszcze nastąpi interpretacya tego prawa co do zakresu przedmiotu i kwalifikacyi nauczyciela. Czuwać nad zachowaniem tego przepisu będzie dyrektor generalny wraz z trzema delegatami szkolnymi, pobierającymi miesięcznie 400 mrs., i inspektorowie miejscowi. I w naszej szkole będziemy musieli zaprowadzić język portugalski i w razie, jeśli Siostry nie będą mogły go uczyć, z początku jeden z nas będzie go musiał wykładać w szkole.

Miesiąc temu przejeżdżali przez Prudentopolis księża Werbiści na objęcie Guarapuawy. Właśnie wybieraliśmy się tam w czasie wielkanocnym, aby wyspowiadać tamtejszych Polaków, których mamy 30 rodzin, ale zapewne będzie dojeżdżał tam ks. Trzebiatowski z Kurytyby albo ks. Tyłłeczek. Dzisiaj znowu przejeżdżają tu Werbiści, aby również osiąść w Guarapuawie i otworzyć tam szkołę. Wzrost tego nowego zgromadzenia jest wprost zadziwiającym, jeśli się zważy, że w samej Brazylii w ostatnich dwunastu latach otworzyli 15 domów, sprowadzili 38 księży, 13 braci i 20 sióstr.

Ksiądz biskup już wyjechał i był wspaniale przyjmowanym w rodzinnem swojem mieście. Niebawem zostanie podniesiony do godności arcybiskupa i otrzyma trzech sufraganów, którzy sprawować będą rządy duszpasterskie w nowych trzech dyecezyach, które mają być kreowane. Następcą jego będzie biskup z Petropolis, ale, póki nie obejmie rządów, Don Duarte zostaje jeszcze tutejszym biskupem.

Wspominają sobie tu wszyscy Czcigodnego ks. Wizytatora i nieraz dopytują się, czy też jeszcze kiedy przezacny nasz ks. Wizytator przyjedzie nas odwiedzić. Odpowiadam

poczciwemu ludkowi: Módlcie się, aby nam w najdłuższe lata Pan Bóg zachował ks. Wizytatora, a wtenczas nieraz, ale wiele razy oglądać go jeszcze będziemy. Ale wtedy już wygodniej zajedzie do nas ks. Wizytator, bo albo koleją, która ma stanąć za kilka lat, albo automobilem, który zamierzają zaprowadzić między Ponta-Grossą a Guarapuawą.

Będziemy trwać w tej ufności, znowu nasi zacni koloniści będą nam towarzyszyli, jeśli zezwoli ks. Wizytator, nad wspaniały wodospad, już nie 80 m. wysoki lecz 300 m. Żałuję, że tem ks. Wizytatora nie wzięliśmy, ale dopiero teraz go odkryli.

W miłości Pana Jezusa i Jego Niepokalanej Matki zostaję Czcigodnego Księdza Wizytatora oddanym sługą

Ks. Jacek Mięsopust,
n. k. Z. M.

List ks. Superyora Sołtysika.

Lucena, 14. maja 1907. r.

List Najprzew. ks. Wizytatora, wysłany z Krakowa, otrzymałem. Dziękuję bardzo za zamówienie w Paryżu figury św. Stanisława dla Luceny. Dotąd jednak nie otrzymałem żadnej wiadomości, czy fiugura już gotowa i kiedy nam ją przyślą. — Ks. Chylaszek także jeszcze nie otrzymał figury Matki Boskiej, którą ks. Wizytator miał zamówić dla Abranches.

U nas na Lucenie po wyjeździe Najprzew. ks. Wizytatora nic się nie zmieniło.

Na Nowy Rok przybyli nam parafianie składać życzenia noworoczne; naprzód postępowały dzieci ze szkoły parafialnej z nauczycielką p. Antoniną Trojanowską na czele; ustawili się wszystkie w ogrodzie przed plebanią. Ja i ks. Kominek musieliśmy wyjść do nich; następnie kilku kolonistów i dzieci szkolnych przemawiało do nas, zapewniając o swojej miłości i przywiązaniu i dziękując nam za pracę i trud, jaki około nich podejmujemy. Pod koniec dzieci szkolne odśpie-

wały kilka pieśni, podczas których dwóch muzykantów przygrywało na skrzypcach.

Dnia 30-go stycznia zjechali na Lucenę ks. ks. Bayer, Chylaszek i brat Aleksander, z którymi odprawiłem razem rekolekcye 8-dniowe.

Przy końcu lutego pojechałem do Abranches, gdzie się odbywała misya, żeby pomódz w pracy; wyspowiadaliśmy około 1200 osób. Podczas misyi w Abranches, dnia 3. marca b. r. umarł w Kurytybie dr. Wincenty Machado, prezydent Parany. Umarł bardzo przykładnie, przed śmiercią spowiadał się kilka razy; w ostatnich dniach choroby jeden z księży zawsze musiał być przy jego łożu. Na jego pogrzebie byłem także z ks. Bayerem, reprezentując duchowieństwo polskie, bo nikogo więcej z polskich księży na pogrzebie nie było. Kondukt w katedrze odprawił ks. biskup Kurytybski. Nasz ks. biskup Duarte Leopoldo e Silva wyjechał dnia 6. kwietnia b. r. z Kurytyby do S. Paulo, gdzie został mianowany biskupem w miejsce ks. biskupa José de Camargo Barros, który przeszłego roku zginął na morzu przy brzegach Hiszpanii, wracając z Rzymu do Brazylii.

Przed wyjazdem do S. Paulo ks. biskup Duarte Leopoldo pożegnał się z Misyonarzami w Abranches, dziękował im za pomoc w pracy i mówił, że chętnieby wszystkie nasze domy odwiedził i ze wszystkimi księżmi się pożegnał, gdyby to było możliwem.

Po wyjeździe ks. Wizytatora z Parany napisałem do ks. biskupa rezygnacyę z Rio Vermelho, polskiej kolonii w stanie Santa Catharina, z powodu jej wielkiej odległości od Luceny. Ks. biskup odpisał mi, że jeżeli nam trudno tam dojeżdżać, nie zmusza nas do tego i nie obowiązuje, jednak dla braku polskich kapłanów, prosi nas, żebyśmy z miłości ku rodakom przynajmniej czasem do nich zajrzeli i duchowne ich potrzeby zaspokoili.

Trudno zatem było ich opuścić; po Wielkanocy pojechał przeto do Rio Vermelho ks. Kominek i zabawił tam 3 tygodnie, wyspowiadał około 550 ludzi i około 30 dzieci

przygotował do pierwszej Komunii świętej. Z Rio Vermelho pojechał aż do Batei, małej kolonii polskiej, należącej już do niemieckiej parafii w S. Bento, a oddalonej od tego miasta o 30 kilometrów. Tam wyspowiadał około 100 ludzi i przyjął kilkoro dzieci do pierwszej Komunii świętej.

Gdy ks. Kominek bawił w Rio Vermelho, przybyła do niego z prośbą deputacya brazylijska z miasteczka Campo Alegre, należącego do parafii S. Bento, czyby Ks. Ks. Misyonarze nie chcieli przyjść do nich, gdyż się chcą oderwać od parafii S. Bento i poprosić ks. biskupa, żeby z Campo Alegre i z polskich Kolonii Rio Vermelho i Batei utworzył nową parafię brazylijsko-polską. Camera (urząd municypalny) w Campo Alegre obiecuje 1000 milreisów jako roczną zapomogę dla Ks. Ks. Misyonarzy. Ks. Kominek jednak deputacyi nie przyjął, żeby go niemięccy księża z S. Bento nie posądzili o agitacyę i odpowiedział, iż w Rio Vermelho nie może się z nimi układać. Zdaje się, że się znowu później do nas zgłoszą z tą samą propozycyą. Nie ulega wątpliwości, że polski ksiądz w tamtych stronach bardzoby się przydał, gdyż Polacy żyją tam i umierają bez pociechy duchownej, bo niemieccy księża ani słowa po polsku nie rozumieją. Przy zawarciu ślubu albo w godzinę śmierci, jeżeli wogóle Polacy wołają wtedy niemieckiego księdza do siebie, ten daje im rozgrzeszenie, ale Komunii św. dać nie chce, przykro im zatem bez polskiego księdza. Straszna też jest u nich, szczególniej u młodszych, nieznajomość w rzeczach religii, o czem miałem sposobność się przekonać, gdy tam byłem przeszłego roku z księdzem biskupem, który odbywał tam wizytacyę kanoniczną.

W przeszłą środę mieliśmy uroczystość św. Stanisława — odpust na Lucenie. Ludzi napłynęło bardzo dużo; przybyło także wielu kolonistów z sąsiednich polskich kolonii, należących już do parafii Rio Negro, oddalonego od nas o 40 kilom.; skorzystali ze sposobności i odprawili u nas spowiedź Wielkanocną. Na odpust zjechał z Abranches także do

nas ks. Chylaszek z kazaniem; bawi u nas jeszcze dotąd i zbiera okazy do gabinetu kleparskiego.

Po odpuście wypadnie nam jeszcze pojechać do Rio Negro, żeby wyspowiadać Polaków z sąsiedniej kolonii polskiej „Imbuia“ i do Gawirowy, polskiej kolonii, oddalonej od Luceny około 30 kilometrów, a należącej także do Rio Negro.

Widzi zatem Najprzew. ks. Wizytator, że i u nas pracy nie brak, niech zatem przysyła do nas jak najwięcej księży.

Polecam siebie i naszą pracę modlitwom Najprzewielebniejszego księdza Wizytatora i pozostaję w miłości P. Jezusa i Jego Niepokalanej Matki Maryi

oddanym sługą

Ks. Tomasz Sołtysik.

KRONIKA.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. — Nowy Orlean. — List ks. Vautiers z 13. listopada 1906 r. W Ameryce Północnej zapowiada się świetna przyszłość dla katolicyzmu, bo liczba jego wyznawców rośnie ciągle i wynosi już dzisiaj 12 milionów. Bardzo pomyślnie rozwija się także Zgromadzenie Ks. Ks. Misyonarzy, którzy tam dzielą się na 2 prowincye.

Prowincya wschodnia liczyła w roku zeszłym w 6 domach 83 Konfratrów, którzy pracują w 4 parafiach, kierują w Brooklynie i Niagarze dwoma seminaryami i kolegiami. Prowincya zachodnia liczyła 95 Konfratrów w 13 domach; tu przyjęło Zgromadzenie aż 12 parafii, ponieważ zrazu liczba duchowieństwa świeckiego była zupełnie niewystarczająca, a ustawiczne zmiany zrywały ciągłość pracy duszpasterskiej. Ponieważ zakony były tu tak bardzo pożądane, liczba ich członków stoi niemal na równi z duchowieństwem świeckiem. Pod naszym zarządem zostają seminarya w Saint-Louis i Nowym Orleanie: pierwsze, między-dyecezyalne, liczy zwykle przeszło 100 alumnów, drugie, nie tak okazałe, ma mniejszą ilość kleryków. Posiadamy także 3 kwitnące kolegia: w Chicago, w Los Angeles i w Cape-Girardeau, za kilka zaś miesięcy powstanie czwarte w Dallas, gdzie już osiadło dwu naszych księży. Dla misyi mamy 2 stacye: w St. Louis z 6 księżmi i w La Salle z dwoma, inni Konfratrzy pracują po parafiach. Trzebaby koniecznie stworzyć więcej centrów misyjnych, bo nieraz trzeba wiele czasu poświęcić na przebycie olbrzymich przestrzeni, dzielących miejsca pracy. Jeden z naszych księży roztacza od kilku miesięcy duchowną opiekę nad

emigrantami w Long-Beach — to także rodzaj pracy misyjnej. Misyi dla Francuzów wcale tu nie odprawiamy — zdołałem dla nich zaledwie podczas wielkiego postu coś zrobić wobec stałych zajęć w seminaryum; gdybym był wolnym, mógłbym w tym kierunku daleko więcej zdziałać zarówno w Nowym Orleanie jak przedewszystkiem po wsiach.

W Luizyanie jest większość parafii francuskich. Wśród 1,400.000 mieszkańców jest 500.000 katolików, a więc przeszło trzecia część. Pomimo, że parafie są tam olbrzymie, proboszczowie obsługują jeszcze 2 lub 3 filie, dokąd zjeżdżają 1—2 razy na miesiąc. Schematyzm z r. 1904 podawał na cały ten stan tylko 162 księży świeckich i 100 zakonnych. Dla tego braku duchowieństwa wiele osób zwłaszcza po wsiach żyje w zupełnej niewiadomości religijnej; w szpitalu Sióstr Miłosierdzia w Nowym Orleanie spotykałem dorosłych ludzi, którzy jeszcze nie przystąpili do pierwszej Komunii świętej. Bardzo by tu były potrzebne misye w języku francuskim, które już dają O.O. Redemptoryści, Dominikanie i Jezuici. Dwaj francuscy Konfratrzy znaleźliby w Nowym Orleanie jeszcze wiele zajęcia; tymczasem jestem sam jeden i to obarczony pracą w seminaryum, mogę więc zaledwie nieco słuchać spowiedzi. Dzieła nasze w Ameryce Północnej znajdują się w kwitnącym stanie; życie tętni tam w całej pełni.

Ameryka Południowa. — Trzęsienie ziemi w Chili. — Jeszcześmy nie zapomnieli o strasznych wypadkach pod Wezuwiuszem i w San Francisco, a znowu dzienniki doniosły o nowem nieszczęściu w Południowej Ameryce. — Dnia 16. sierpnia zeszłego roku nawiedziło Chili trzęsienie ziemi, jedno z najstraszniejszych, jakie opisuje historya. Ogarnęło całe jedenaście prowincyi; na 753.000 km.^{2} obszaru całego kraju, przeszło 120.000 km.^{2} doznało wstrząśnienia strasznego. Kraj to podatny do tego rodzaju kataklizmów, bo z jednej strony graniczy z Oceanem Spokojnym, z drugiej z pasmem Kordylierów o niebotycznych szczytach, sięgających wysokości 7000 metrów, po większej części wulkanicznych. Najwięcej ucierpiało tuż nad morzem położone najznaczniejsze portowe

miasto Valparaiso. — Miasto to pod koniec XVI. w. zamienione w port wojenny było widownią licznych wojen i zaburzeń czy to przy oswabadzaniu się z pod jarzma hiszpańskiego czy w walce z korsarzami, najeźdźcami czy w zamieszkach domowych. Najbardziej atoli dały mu się we znaki klęski żywiołowe. Częste wybuchy wulkanów groziły mu nieraz zniszczeniem. Trzęsienia ziemi nawiedzają je raz poraz, największe przed teraźniejszem w r. 1835. W latach zaś 1843. i 1858. pożary obróciły w perzynę prawie całe miasto. — Mniej już szkody poniosła stolica kraju Santiago.

Bliższe szczegóły o ostatniej klęsce zapisały Roczniki francuskie w styczniowym zeszycie b. r. Jest to zbiór listów Konfratrów i Sióstr z Chili. Ważne to dla nas, bo w tych stronach pracują nasi Konfratrzy prowincyi chilijsko-peruwiańskiej (*prov. du Pacifique*); w samem Chili mają dwa domy, główny w Santiago. Ale przedewszystkiem obszerną działalność rozwijają tam S. S. Miłosierdzia, w samej stolicy pracują w 10 domach, a w Valparaiso posiadają 6 posterunków.

W Santiago byli właśnie Konfratrzy na podwórku w czasie rekreacyi wieczornej, gdy nagle około godziny ósmej wszystkie domy okoliczne zaczęły się chwiać. Olbrzymie wyładowanie elektryczności atmosferycznej, częściowy wybuch wulkanów a zarazem trzęsienie ziemi najgorsze ze wszystkich, pionowe, wstrząsnęły całym kontynentem. Gazy, elektryczność i inne światła pogasły, a tylko łuna od pożaru lub błyskawice rozświetlały ciemność złowrogą. Huk podziemny, trzask i łomot walących się domów trwały kilkanaście minut, wydających się wiecznością.

Gdy się wszystko nieco uspokoiło, a ludzie odzyskali przytomność, rozeszli się liczni Konfratrzy domu centralnego z pomocą. Jedni przez całą noc spowiadali tłumnie garnący się lud wierny, drudzy strzegli domu, a zwłaszcza przerażonej młodzieży, inni pospieszyli z duchowną i materyalną pomocą do domów siostrzeńskich i do miasta. Zaledwo pokazali się na ulicy, rozrywano ich na wszystkie strony wołaniem: „Ojcze! prosimy o rozgrzeszenie. To koniec świata!“

Uspokajali ich, jak mogli, zapewniając, że wszystko już dobrze, gdy nagle powtórzyło się wstrząśnienie i huk podziemny, jak gdyby dla zadania kłamu ich słowom. Stąd nowy płacz, nowe krzyki i lamenty. Na szczęście były to już tylko słabe echa trzęsienia, które większych szkód już nie wyrządzały. Nasi wyszli wszyscy cało z tej katastrofy, tak Konfratrzy jak Siostry, chorzy, wychowankowie, wogóle cały personal. Znaczne tylko były szkody materyalne. Najboleśniejsze to, że grobowce obydwu naszych rodzin porozwalały się, a ośmdziesiąt trumien z nieboszczykami kilka dni musiało czekać na nowe pogrzebanie.

Gorzej było w Valparaiso. Cztery domy siostrzeńskie runęły całkowicie, a dwa stały się prawie nie do użycia.

Opisują to straszne spustoszenie dwaj Konfratrzy, ks. George i ks. Rigaud, zajęci, jak się dowiadujemy z noworocznego cyrkularza O. Generała, rozszerzaniem w Chili i organizowaniem „Stowarzyszenia Rozkrzewiania Wiary św.".

Ks. Rigaud bawił właśnie w Valparaiso w czasie katastrofy. Zaraz też podążył do domów Sióstr na ratunek. Po drodze nieszczęśliwi zasypują go przeróżnemi pytaniami i prośbami. Na jednym z większych placów zgromadziła się ich znaczna liczba. Jedna kobieta woła: „Ojcze gdzież moje dzieci?", dwie drugie przynoszą dzieci do chrztu św., którego Misyonarz udzielił natychmiast; inni proszą o modlitwę, a wszyscy o spowiedź św. Skorzystał z tego ks. Rigaud, w gorących słowach zachęcił wszystkich do serdecznego żalu i wszystkim naraz udzielił rozgrzeszenia. Pospieszył następnie do szpitala św. Jana Bożego, który cały legł w gruzach. Siostrom i chorym zgromadzonym na podwórzu udzielił rozgrzeszenia i powiedział kilka słów pociechy, roznosząc słowa otuchy i pociechy duchowej. Jedenaście razy udzielił tej nocy absolucyi generalnej całym tłumom wiernych, ośmnastu nawpół zasypanych wysłuchał spowiedzi św., udzielił czterech chrztów. Wielu mężczyzn przyłączało się do niego w drodze, a idąc z nim wyznawali swoje grzechy, aby nastepnie otrzymać rozgrzeszenie. Na takiej pracy upłynęła mu noc cała.

Zrana przybył do Valparaiso ks. George; teraz więc obydwaj zajęli się gorliwie nieszczęśliwymi...

Jak w Santiago tak i tutaj nie było u naszych żadnej straty w ludziach. Zato daleko większe straty materyalne. — Dziś wszystko już po większej części podniosło się z upadku.

Chiny. — Cze-Kiang. — Ze sprawozdania Mgr. Reynaud. Wikaryat apostolski Cze-Kiang obejmuje prowincyę tej samej nazwy, najmniejszą ze wszystkich w Chinach, bo rozciąga się zaledwie między 4 stopniami geograficzn. wzdłuż i wszerz. Mimo to jest jedną z najważniejszych części chińskiego cesarstwa, ponieważ sąsiednia grupa wysp Czu-San posiada pierwszorzędne znaczenie strategiczne. Obszar Czet-Kiangu wynosi 92.000 km^2 z ludnością około 23 milionów. Wikaryat apostolski utworzył tu w r. 1696. pap. Inocenty XII., a pierwszym wikaryuszem został Mgr. d'Alcala z zakonu Dominikanów. Po okresie prześladowań stali na czele wikaryatu naprzemian O. O. Dominikanie z Fo-Kien i Ks. Ks. Misyonarze z Kiang-Nan. Na prośbę Mgra Carpina z zakonu św. Dominika, wikaryusza apost. z Fo-Kien, powierzono całą prowincyę Ks. Ks. Misyonarzom, a Mgr. Rameaux został zamianowany wikaryuszem apost. Kiang-Si i Cze-Kiang. Stosownie do podziału politycznego została w r. 1846. każda z tych prowincyi oddzielnym wikaryatem, a na czele wikaryatu Cze-Kiangu stanął Misyonarz, Mgr. Lavaissière.

Prowincya Cze-Kiang obejmuje 11 prefektur cywilnych, podzielonych na 5 grup, z których każda ma jednego tav-tai na czele. Uwzględniając ten podział państwowy, wyznaczyłem na każdą grupę prefektur jednego doświadczonego i zdolnego Misyonarza, ażeby w tem terytoryum załatwiał wszelkie sprawy kościelne. Zależąc wprost od wikaryusza apostolskiego, przedkłada mu roczne sprawozdanie ze stanu powierzonych sobie prefektur, odnosi się do niego w trudniejszych wypadkach i informuje go o ważniejszych zajściach. Jest to zatem rodzaj dziekana, któremu podlega 5 lub 6 Misyonarzy, sprawujących jakby urząd proboszczów czy wikarych. Ta organizacya ułatwia bardzo zarząd wikaryatu.

Zarówno europejscy jak i chińscy Misyonarze należą do naszego Zgromadzenia; wyjątek stanowi tylko 7 księży świeckich, z których jest 4 Europejczyków a 3 Chińczyków, wykształconych przez naszych Konfratrów. W Cze-Kiangu mamy jedno wielkie i jedno małe seminaryum. Wielkie seminaryum znajduje się dotąd w Ning-Po, ale wobec rosnącej liczby almunów trzeba myśleć o innym, obszerniejszym budynku. Na teologii jest obecnie 18, na filozofii 8 studentów. W małem seminaryum, leżącem na archipelagu Czu-San, 30 chłopców uczy się języka łacińskiego. Z biegiem czasu postaramy się o wybudowanie szkoły przygotowawczej, gdzieby się mali kandydaci mogli uczyć czytać i pisać po łacinie; dopiero potem będziemy ich wysyłali do małego seminaryum, jeżeli się u nich okażą znaki powołania.

W ten sposób systematycznie będzie się zasilało i wielkie seminaryum. Wszyscy ci wychowankowie żyją wspólnie zdala od ludzi świeckich pod nadzorem europejskich naszych Konfratrów, którzy ich kształcą w cnocie i nauce według zasad soboru Trydenckiego.

Siostry Miłosierdzia w cesarstwie chińskiem osiadły najpierw w Cze-Kiangu. Liczba ich wynosi obecnie 40, z których 25 pochodzi z Europy, 15 z Chin. Pracują one bardzo gorliwie i skutecznie w duchu swego powołania pod kierunkiem Ks. Ks. Misyonarzy. Pole ich dobroczynnej, miłosiernej działalności jest bardzo rozległe, uczą bowiem po szkołach i zakładach dla sierót, pielęgnują chorych po szpitalach, utrzymują schroniska dla podróżnych, odwiedzają biednych po domach, apostołują jednem słowem przez dzieła miłosierdzia. Cyfry najlepiej wykażą rezultat pracy Sióstr Miłosierdzia w 5 tutejszych domach. Wyliczamy sucho poszczególne ich posterunki; obsługiwały 3175 chorych w 4 szpitalach dla mężczyzn i 440 w 4 szpitalach dla kobiet. Pod ich dozorem znajdowały się 3 przytuliska dla starców (85) i 3 dla staruszek (80); zarządzały 2 schroniskami dla chłopców (82) i 4 dla dziewcząt (502), utrzymywały nadto 10 żeńskich szkół

i 5 pracowni. Z 5 aptek wydano 198.806 lekarstw i odwiedzono 25.125 chorych w ich własnych mieszkaniach.

Od 3 lat patrzymy tu na wielkie poświęcenie Braci Marystów, którzy z przykładnym zapałem i gorliwością kształcą młodzież chińską w językach europejskich i innych umiejętnościach. Trzeba także wspomnieć o zgromadzeniu Córek czyścowych, zwanych tak dla ich szczególnej troski w ratowaniu dusz w czyścu cierpiących. Składają śluby proste i odnawiają je corocznie. Zajmują się chrześcijańskiem wychowaniem dziewcząt w szkołach i ochronkach, troszczą się o katechumenów, docierają jednem słowem wszędzie, gdzie niema Sióstr Miłosierdzia. P. Bóg też w szczególniejszy sposób zdaje się temu zgromadzeniu błogosławić, liczba członków wzrosła już bowiem do 50 w 4 domach. Chcąc to zgromadzenie ostatecznie zorganizować, trzebaby dlań wybudować dom macierzysty z nowicyatem; zająłbym się tem z całego serca, gdyby tylko dochody wikaryatu na to pozwoliły.

Zpośród duchowieństwa krajowego 12 księży należy do naszego Zgromadzenia; podobnie 15 Sióstr Miłosierdzia jest pochodzenia chińskiego. Chińczycy wogóle okazują wielki pociąg do życia zakonnego i spełniają sumiennie wszystkie jego przepisy.

W wikaryacie naszym mamy 12 wielkich kościołów, 106 kaplic, 178 oratoryów i 17 stałych rezydencyi z jednym lub dwoma Misyonarzami. Kaplice jako punkty zborne dla chrześcijan, są niezbędne dla utrzymania ich na drodze obowiązku. Zgromadzają się w nich na modlitwy i słowo Boże pod przewodnictwem katechisty, zastępującego miejsca Misyonarza. Bez kaplic rozluźniłyby się węzły, łączące chrześcijan i obniżyłby się bardzo poziom moralności. Wprawdzie w głównych rezydencyach i w większej części naszych stacyi chrześcijanie cieszą się zupełną swobodą religijną, ale na nowych placówkach trzeba zawsze wielkiej roztropności, bo tłumy, zwabione ciekawością, mogłyby łatwo wszcząć niepokoje, zwłaszcza w odległych okolicach, gdzie ludność jest ciemna i wrogo usposobiona. Jednak i tam można często

spotkać dusze proste, na które piękność naszych obrzędów wywiera nieprzeparty urok.

Wikaryat nasz liczy 67 szkół męskich z 1269 uczniami i 22 szkoły żeńskie z 833 dziewczętami. Szkolnictwo jest tutaj sprawą najżywotniejszą i dlatego popieramy je według sił. Otworzyliśmy już 3 kolegia, gdzie młodzież chińska otrzymuje europejskie wykształcenie.

Chiny powstają ze swego długiego letargu i burzą tamy, odgradzające je od Europy, ażeby przynajmniej w młodszem pokoleniu zaznaczył się postęp ku lepszemu. Poszukuje się gorliwie nauczycieli zagranicznych, bo uczniowie nie mają zaufania do krajowców dla braku potrzebnej wiedzy. Ażeby ten ruch dla siebie wyzyskać, nie żałują protestanci ani ludzi ani pieniędzy, wiedząc dobrze, że w ten sposób zjednają sobie przeważny wpływ na cały kraj. Z kolegiów wyjdzie przecież przyszła, decydująca część społeczeństwa chińskiego; jeżeliby się więc dostała w ręce protestantów, przejęłaby się nawet nieświadomie nienawiścią do naszego Kościoła. W ten sposób mielibyśmy później w sferach rządzących podwójnego wroga: zatwardziałych pogan i wychowanków protestanckich.

Dla odwrócenia tego niebezpieczeństwa i zyskania wpływu na ludność, trzebaby wyzyskać zwrot chińskiego społeczeństwa do europejskiej cywilizacyi, trzebaby otwierać kolegia. Może nawet to nie przysporzy wielu chrześcijan, ale przynajmniej będziemy mieli na przyszłość wdzięcznych przyjaciół. Miejsce dawnych uprzedzeń zajmie lepsza znajomość naszej religii, znajdziemy skuteczną pomoc w naszej pracy apostolskiej. Kosztem stowarzyszenia św. Dziecięctwa utrzymuje się w Cze-Kiangu 10 schronisk dla sierót, których liczba wynosiła 1080, nie wliczając w to 1102 niemowląt.

W głównych centrach misyjnych zaprowadziliśmy także rodzaj kursów katechetycznych, gromadząc katechumenów na kilka miesięcy przed chrztem św. na naukę religii. Codzień pouczamy ich o prawdach wiary i moralności. Odcięci zupełnie od wpływu pogan, przyzwyczajają się w tej atmosferze religijnej do życia chrześcijańskiego. Te kursa oszczę-

dzają nam wiele czasu i trudu, bo daleko mniej pracy wymaga nauka zbiorowa aniżeli katechizacya poszczególnych osób w warunkach częstokroć bardzo niedogodnych.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków — Kleparz. Długo Królestwo Polskie leżało ugorem, długo nie widziało w swych granicach Misyonarzy; to też nastał teraz czas bogatej siejby, że aż ręce ustają od rzucania ziarna Bożego. Dużo narosło chwastów na tej urodzajnej glebie i dlatego ustawicznie dochodzą nas wołania zarówno od duchowieństwa jak od ludzi świeckich, żeby ratować zagrożoną sprawę Chrystusową zwłaszcza w centrach fabrycznych. Grupa misyjna ks. ks. Konfratrów z Kleparza pracowała więc w 1-szym kwartale w Częstochowie i Piotrkowie; nie zapomniano jednak i o Galicyi, dano bowiem z pomocą innych domów dwutygodniową misyę w Przeworsku, ks. Truszkowski dał nadto w Stryju specyalną dla robotników, ks. Szymbor w Mikulicach.

Podobnie jak w zeszłym roku odprawiono też rekolekcye misyjne w parafii św. Floryana i św. Szczepana w Krakowie. W drugim kwartale po Nowo-Radomsku w dyecezyi włocławskiej nastąpił szereg misyi najpiększych ze wszystkich, jakie może kiedykolwiek zanotowały kroniki naszego Zgromadzenia w Polsce. Zawezwano nas na Podlasie do tego ludu, co długie lata trwał w świętej wierze mimo srogiego ucisku, trwał w ciężkiej niedoli i wytrwał, doczekał się lepszych czasów. Całomiesięczna praca na tej ziemi, zroszonej najlepszą krwią ludu podlaskiego, zamieniła się w jeden wielki, nieustający tryumf Kościoła katolickiego. Żyrzyn, Lubartów, Radzyń i Międzyrzec zwiedzali kolejno nasi Konfratrzy, głosząc tysiącom bohaterskich unitów słowa pociechy i pokoju. Ciągle otrzymujemy od zacnych Podlasiaków listy dziękczynne za podjęte dla nich trudy, a miejscowi pasterze zapewniają, że plon z posiewu będzie stokrotny.

„Nie uwierzycie — pisze ks. proboszcz z Radzynia do ks. Rossmanna, dyrektora misyi — nie uwierzycie, Czcigodny

Asystencie, jak mi za wami tęskno. Na wpół przytomny żegnałem się z Wami, Ojcowie, w Międzyrzecu. Parę tygodni z Wami tak przeleciało — dlaczego tak prędko? Dlaczego tak zżyłem się z Wami, jakbyśmy oddawna byli sobie znani i blizcy? Boście mężami serca i dlatego całem sercem do Was przylgnąłem. Praca wasza wydaje owoce i codzień do 2-giej po południu spowiadamy. Właściciele szynków skarżą się na wielkie ubytki — i trzeciej części dochodu z wódki nie mają. Moja parafia stała się więcej jednolitą, nauki bardzo zapadły w serca i umysły wiernych. Bóg Wielki Wam zapłać za trudy i prace Wasze".

Po misyach na Podlasiu, mimo starganych sił, dali jeszcze Konfratrzy wielką, dziewięciodniową misyę w Kamieńsku (dyec. włocławska), pojechali następnie do Darachowa w Galicyi, wreszcie do Brahiłowa na Podolu rosyjskiem. Mimo wytężającej pracy misyjnej nie zaszła żadna zmiana w zwykłych naszych zajęciach. Jeszcze w styczniu daliśmy rekolekcye dzieciom z domu centralnego Sióstr Miłosierdzia i dwie serye rekolekcyi ludowych w kościółku na Kleparzu. W okresie wielkanocnym przewodniczyliśmy ćwiczeniom pobożnym w 10 miejscach: u P. P. Nazaretanek w Krakowie, w domu centr. Sióstr Miłosierdzia, u P. P. Sercanek dla służby z miasta, w „Domu Pracy" na Kazimierzu, w liceum żeńskiem, w szkole S. S. Augustyanek, w zakładzie im. Helclów, w szkole Sióstr Bożej Miłości, w szkole św. Stanisława, w domu kleparskim dla dziadków, wreszcie później nieco dla dzieci ze szkoły św. Stanisława, przystępujących po raz pierwszy do Komunii św. Wobec wzrastającej ciągle pracy oko mimowoli ogląda się za pomocą, a tymczasem zabrał nam P. Bóg do siebie Czcigodnego ks. Rektora Sakowskiego, co nas wiązał z dawnemi laty; zabrał także młodego Konfratra z pierwszego roku teologii, Pawła Barona, który wiele obiecywał, a dokonał tylko jednego, zaświecił zam przykładem wzorowego życia i uczył cierpieć w cichości.

„Dom pracy" na Kazimierzu. — W ostatnim kwartale święciło nasze stowarzyszenie Dzieci Maryi 25-letnią rocznicę

swego istnienia. Inicyatorowie: ś. p. ks. wizyt. Soubielle i ś. p. Siostra Ryszewska, już w grobie, lecz dzieło ich ciągle się rozwija. Podczas uroczystości podała jedna z 5 pierwszych, żyjących jeszcze członkiń stowarzyszenia obraz jego stopniowego rozwoju. Zawiązkiem tego dzieła były niedzielne katechizmy dla panien, z których Czcigod. ks. wizytator J. Kiedrowski w święto Niepokalanego Poczęcia 1881. r. wybrał pierwsze aspirantki, a 29. maja roku następnego ś. p. ks. wizytator Soubielle włożył już pewnej części aspirantek medale Dzieci Maryi. Odtąd rozkwitało stowarzyszenie powoli lecz systematycznie pod dyrekcyą najpierw ś. p. ks. wizytatora Soubielle ($3\frac{1}{2}$ roku), potem ks. wizytatora J. Kiedrowskiego, ś. p. ks. Fr. Kamińskiego, ks. Rektora Sakowskiego, ks. J. Rossmanna, ks. Ciopalskiego, ks. J. Głogowskiego i ks. J. Sowińskiego. Jeżeli ks. ks. Dyrektorowie byli jakby głową stowarzyszenia, to jego sercem była pełna poświęcenia Dyrektorka, ś. p. Siostra Ryszewska, przełożona „Domu Pracy“. Jej cnota wywierała nieprzeparty wpływ na stowarzyszenie, przezco ułatwiała bardzo pracę ks. ks Dyrektorów. Jeszcze dotąd zdaje się jej duch panować w stowarzyszeniu, jeszcze dotąd Dzieci Maryi wspominają o niej ze łzą wdzięczności. Stowarzyszenie przez 25 lat swego istnienia wychowało dla społeczeństwa wiele pożytecznych pracownic, dla P. Boga wiele dusz głęboko pobożnych, a 11 z Dzieci Maryi wstąpiło do zgromadzeń zakonnych.

Parana. — Podczas wizyty Przewiel. ks. Wizytatora w Paranie zaszły pewne zmiany w naszych tamtejszych domach. Ks. Kołodziej, który wraz z ks. Wizytatorem przyjechał z Ameryki Północnej do Parany, pracuje obecnie wraz z ks. sup. Chylaszkiem w Abranches, ks. Kandora z ks. sup. Mięsopustem w Prudentopolis, ks. Dejewski, jak dotąd, z ks. sup. Bayerem w Thomaz-Coelho, i ks. Kominek z ks. sup. Sołtysikiem na Lucenie. — Podajemy niżej wybrane ustępy z *Gazety Polskiej w Brazylii,* charakteryzujące rodzaj pracy naszych Konfratrów w Paranie.

Antonio Candido. — Ekskursya ks. Kołodzieja (*Gazeta Polska w Brazylii* z 14. lutego b. r.):

Dowiedziawszy się z „Gazety Polskiej“ o przyjeździe dwóch OO. Misyonarzy polskich z Krakowa, poprosiliśmy listownie Wiel. ks. Superyora Bayera o przysłanie jednego z księży, celem udzielenia nam posług religijnych, których od tak dawna jesteśmy pozbawieni. Odpowiedź przyobiecywała nam przybycie ks. Misyonarza po Trzech Królach. Zaraz tedy zapanował ruch w kolonii. Jedni szykowali pomieszkanie dla księdza, inni myli podłogę w kościele i porządkowali go, w czem główną zasługę przyznać należy rodzinie Woźniaków.

To też gdy przybył ks. Kołodziej, zdziwił się niepomiernie, że kościółek, pod wezwaniem św. Antoniego, choć mały i skromny, ale czyściutki, tak mała kolonia potrafiła w krótkim przeciągu czasu postawić. Ale jak księdzu parafianie, tak jeszcze bardziej przypadł do serca parafianom ks. Kołodziej, który w pierwszych zaraz chwilach dowiódł, że jest równie zacnym kapłanem, jak gorliwym patryotą polskim. Od rana bowiem spowiadał, chrzcił, pełnił służbę Bożą, a po przyjęciu posiłku skromnego znowuż się zajmował nauką religii, spowiedzią i t. p. czynnościami religijnemi. Mimo to znalazł jeszcze dość czasu na pogawędkę z kolonistami, którym polecał gorąco sprawę założenia szkoły. Jesteśmy przekonani, że wnet i szkoła u nas powstanie, bo rodzina Woźniaków już przyrzekła, a są to ludzie, u których wślad za przyrzeczeniem idzie i czyn. Nie chcemy przez to nikomu uchybić, boć i inni nie odmówią pomocy, czy to składając datki pieniężne, czy materyały budowlane, czy wreszcie ofiarując bezpłatną pracę. Ale do rzeczy. Nasza kolonia dawno już odczuwała potrzebę takiego księdza jak ks. Kołodziej, bo tu koło naszej owczarni krążą sabbatyści pod wodzą Niemca, którym już udało się obałamucić dwóch naszych rodaków (Ignacego Czapiewskiego i Władysława Szymruńskiego, nieumiejącego ani czytać, ani pisać). Wyśmiewani przez rodaków i nazywani szabaśnikami, zamierzają naszą

kolonię opuścić. Więcej daleko u nas jest spirytystów czyli „członków bractwa spirytusu“, i ze smutkiem przyznać trzeba, że koloniści nasi z wszystkich zaborów jako pijacy stoją na pierwszem miejscu. To też dwaj z nich zaraz po spowiedzi i Komunii św. poszli uraczyć się gorzałką, o czem ksiądz dowiedziawszy się, zagroził, że żadnego pijaka spowiadać nie będzie, jeżeliby się nałogu swego pozbyć nie chciał. Zrobiwszy wycieczkę do Jangady, zajął się tą opuszczoną przez nas placówką i nie opuścił żadnej sposobności do krzepienia naszych kolonistów na duchu, zachęcając ich do zachowywania wiary św. i języka ojczystego. Rozrzewnieni słowami księdza, koloniści przyrzekli zająć się sprawą kościoła i szkoły, a myślimy, że nie poprzestaną na słowach tylko. Wróciwszy z Jangady, nieznużony pasterz jął dalej czyścić winnicę Pańską z wielką dla nas pociechą. Im dłużej przypatrywaliśmy się pracy ks. Kołodzieja, tem większy szacunek dlań uczuwaliśmy. Bo też jak dobrym jest katechetą, tak równie dobrym okazał się pedagogiem. Zgromadziwszy bowiem dzieci na naukę katechizmu, wszczepiał w nie zasady naszej św. wiary, a widząc znużenie, ogarniające dziatwę, onieśmieloną widokiem nieznanego im dotąd kapłana, zarządził przerwę nauki religii, każąc dzieciom bawić się w kotka i myszkę, trzeciaka, pytkę i t. p. gry. Wkrótce dziatwa, rozbawiwszy się, dała wypoczynek umysłowi, co widząc ksiądz, znowu ją zajął przerwaną nauką religii. To też we środę dnia 16. stycznia podczas nabożeństwa uroczystego, odprawionego wspólnie z ks. Ludwikiem Vercundo Vandedom (zakonu OO. Franciszkanów) z Palmas, (zastępcą ks. proboszcza) w przepełnionym przez pobożnych kościele, dość znaczna liczba dziatwy naszej, po odprawionej przedtem spowiedzi przystępowała uroczyście po raz pierwszy do Stołu Pańskiego, budząc nadzieję w rodzicach, że wiary naszej św. silnie się będzie trzymać, a jeżeli szkoła, powstać mająca, swoje spełni zadanie, to i Ojczyzna nasza droga do swych synów ich zaliczy. Kiedy nareszcie inne obowiązki powoływały ks. Kołodzieja do Abranches, z płaczem odprowadzali koloniści pol-

skiego księdza“ do Uniao da Victoria, polecając się jego pamięci. W piątek rano dnia 18. stycznia pociąg kolei żelaznej zabrał z sobą drogiego gościa z pamięcią o nas, bo wołającego: „do widzenia“.

Mając w pamięci zachętę ks. Kołodzieja do budowy szkoły, zamierzamy ją wybudować zaraz obok kościoła tak, by dziatwa z domu Bożego wychodząc, miała pod bokiem i dom szkolny. A że, jak ruskie przysłowie mówi: „nad syrotoju Boh z Kałytoju“, więc zaraz p. Bilski przyrzekł nam na szkołę dać 100 milów oraz 200 milów zebrać osobno drogą składek, pod warunkiem rozpoczęcia budowy, zatem:

Choć słońce kryje chmury cień,
My w lepszą przyszłość patrzmy się!

(Następuje 63 podpisów).

Lagoa Suża. — Towarzystwo św. Józefa i obchód 3-go Maja. (*Gazeta Polska w Brazylii* z 16. maja b. r.). Na Lagoa Suża drugą rocznicę założenia Tow. Św. Józefa obchodzono w środę ubiegłą, w połączeniu z niezapomnianą przez Polaków datą 3 maja. Mimo, że dzień był powszedni, wszystko co było rozumniejsze, szczerze polskie, zbiegło się, by uczcić wiekopomną chwilę dziejów naszych — a zebrała się braci garść niemała. Uroczystość — jak zwykle u prawdziwych Polaków — rozpoczęto od wysłuchania mszy św., odprawionej przez W-go ks. Bayera, na kolonii Krystynie. Na tę uroczystość przybył z Kurytyby W. Szan. konsul p. Okęcki z dostojną małżonką i p. L. Bielecki. Przed budynkiem szkolnym brama z napisem „witajcie“, powyżej Orzeł biały, a z boków festony i chorągwie o barwach narodowych. Wnętrze — także odświętnie przybrane, tonie w zieleni, wieńcach i chorągiewkach. Nadjeżdżających Sz. pp. Okęckich wita prezes przy huku moździerzy i rakiet, a dziewczątka szkolne wręczają — niespodziewanemu gościowi — Sz. pani Okęckiej bukiet kwiatów. Około pierwszej z południa spora sala szkolna wypełniła się szczelnie. Pierwszy zabrał głos przewielebny ks. Bolesław Bayer i w ślicznem przemówieniu, streściwszy znaczenie konstytucyi 3 Maja — dla nas, uzasa-

dnił konieczną potrzebę oświaty, bez której śmiało w przyszłość spoglądać nie może żaden naród. Przemówienie p. L. B. miało na celu wykazanie, jakie obowiązki spływają na nas wszystkich z aktu konstytucyi 3 Maja i podkreślało potrzebę zaprowadzenia pewnych, praktycznych zmian w naszem codziennem postępowaniu. Sz. p. Okęcki zachęcał do oświaty, pracy i miłości wzajemnej, a na pamiątkę dnia tak miłego wręczył Towarzystwu św. Józefa obraz szlachetnego chłopa bohatera, Bartosza Głowackiego, a zebranym — książeczki pod tyt. „Precz z ciemnotą“. Przed wyjściem z sali, ku wielkiej radości dziatwy, jak z roga obfitości posypały się do ich rącząt cukierki. To dar Pani Okęckiej.

Na zebraniu odczytano rachunki, dotyczące przychodu i rozchodu Towarzystwa, a po zebraniu odbyła się loterya fantowa — sprzedając wszystkie bilety.

†

Ś. p. Siostra Zofia Skibicka.

Stawszy się przez krótki czas doskonałą
Przeżyła czasów wiele. *Ks. Mądr. 4, 13.*

Są dusze, które zdają się być tylko pożyczonemi światu. Zstąpiły z nieba, aby na ziemi dać przykład cnót pięknych i czem prędzej powrócić na łono Boga, z którego wyszły. Jedną z takich dusz miłych Bogu, to ś. p. Siostra Zofia Skibicka, której nieodżałowana śmierć okryła żałobą Dom św. Maryi Magdaleny i tych wszystkich, co mieli sposobność spotkać się z nią na drodze życia. Urodzona 3. stycznia 1882. przepędziła swoją młodość w Brzeżanach, gdzie ojciec jej, powszechnie szanowany, spełniał obowiązki lekarza okręgowego. W domu swych zacnych rodziców otrzymała nader staranne wychowanie. Otoczona tem wszystkiem, co świat dać może, nie przywiązała się do niego, ale serce swoje od najmłodszych lat złożyła w ofierze Panu Bogu, jako przyszła Siostra Miłosierdzia, ze szczególniejszem zamiłowaniem odwiedzała chorych po domach, zanosiła im swe oszczędności, ratowała i pocieszała opuszczonych, gdzie tylko się o nich dowiedziała.

Jak piękną, gorącą i pełną miłości bliźniego była dusza tej młodziutkiej panienki, można poznać choć w części z notatek, które się dochowały z jej lat dziecięcych.

W dzień Trzech Króli r. 1899. tak wylała uczucia serca swego przed żłóbkiem Pana Jezusa. „O Boska Dziecinko Jezus! oddaję Ci się najzupełniej ze wszystkiem — moje serce ze wszystkiemi uczuciami, dążeniami i pragnieniami, a w zamian od Ciebie Dziecino Jezus spodziewam się miłości Twojej i łaski Twojej i nic więcej...... nic więcej prócz nieba!!“

„Życie moje — pisze gdzieindziej — powinno być jednem przygotowaniem się na śmierć: bo tylko raz umrę, a od chwili mego skonania zależy cała wieczność“.

W dniu zaś Wszystkich Świętych 1899 r., rozważając widocznie Ewangelię, jaką Kościół święty na ten dzień czyta, taką sobie piękną, a na wiek swój bardzo głęboką uwagę zapisała:

„Pan Jezus o ubogich ubóstwo swoje znoszących w duchu Bożym wyraźnie orzekł, że ich jest Królestwo Niebieskie. Do ubogich więc należy z woli Pana Jezusa niebo: a zatem, jak jakikolwiek towar potrzeba nabywać od tego, co ten towar posiada, tak i niebo należy nabywać sobie od ubogich. Ponieważ zaś niebo bez porównania więcej jest warte niż wszystkie skarby tego świata, słuszna jest rzecz, żeby nie ubodzy szukali nabywców na ten swój nieoceniony towar, ale żeby ci, co pragną nieba, szukali i nabywali go u ubogich“.

Ożywiona tą myślą, pomimo gorącego przywiązania do rodziny, porzuca wreszcie dom rodzicielski, przezwycięża wszystkie przeszkody z bohaterską odwagą pełną ofiarności, przychodzi poświęcić się ubogim, by usługując im, kupić sobie to niebo, którego tak pragnęła.

Postulat rozpoczęła 30. września 1904 r. w domu św. Maryi Magdaleny. Gdy znalazła się wreszcie w rodzinie św. Wincentego, do której serce jej od młodych lat ją ciągnęło, szczęście jej granic nie miało.

„Zdaje mi się — mówiła — że jestem w raju“. Wszystkie praktyki i zwyczaje Zgromadzenia były dla niej święte. W seminaryum w Paryżu zjednała sobie prostotą swoją i pobożnością serca towarzyszek i przełożonych, czego dowodem piękny list Najprzewielebniejszej Matki Generalnej w przeddzień śmierci otrzymany. Widząc się już odzianą świętą suknią Córki Miłosierdzia, nie mogła ukryć radości wewnętrznej, że już osiągnęła to, czego tak gorąco pragnęła. Możnaby powiedzieć, że odtąd nie postępowała, ale biegła na drodze cnoty.

Opuszczając seminaryum, takie sobie zanotowała postanowienia:

„Postanowieniem mojem z odbytych rekolekcyj i nauk w seminaryum jest: „Wiernie służyć Panu Jezusowi przez wierne zachowanie Reguł św., z całą usilnością unikać wszystkiego, coby mogło zwrócić czyjąś uwagę, abym za nic miana, niespostrzeżona, zapomniana od wszystkich, ale znana tylko Panu Jezusowi, Jemu służyła. Cieszyć się, gdy mnie spotka jakie upokorzenie lub przykrość. Być posłuszną woli przełożonych. Nie przywiązywać się do swej woli, nie żałować choćby największego trudu dla obsługi chorych i zyskania ich dusz Panu Bogu“.

Po powrocie do kraju przeznaczoną została do Domu nieuleczalnych im. Helclów, a po rekolekcyach w styczniu b. r. przysłano ją do Domu św. Maryi Magdaleny, by tu oddała swe siły na usługi tych najbardziej opuszczonych istot.

W liście do rodziców dała wyraz swej radości, że może pracować w tem dziele miłosierdzia, które tak umiłował św. Wincenty: że może pielęgnować i pocieszać więźniów.

Niedługo tu przebywała, ale w tym krótkim czasie pokazała się prawdziwą Córką Miłosierdzia według serca św. Wincentego.

W załatwianiu sprawunków domowych, czy u władz świeckich, odznaczała się roztropną skromnością, pełną prostoty. Dla towarzyszek pełna usłużności i uprzejmości, gotowa na każde skinienie; dla chorych więźniarek, których piecza była jej powierzoną, pełna poświęcenia, czem zyskała sobie ich serca tak, iż nie wyrażały się o niej inaczej, jak tylko: nasza Dobrodziejka, to dobra jak anioł, jak matka o rodzone dzieci się stara“.

Gorliwą była w wypełnianiu Reguł świętych, zamiłowaną w ubóstwie, a w tem wszystkiem bez żadnej przesady, bez żadnego wyszczególnienia się. Niestety, nie długo danem nam było budować się jej cnotami, spodobało się Panu Bogu zabrać ją wcześniej do siebie, bo widocznie jej serce gorące dojrzało już do nieba.

Zaraz po jej przybyciu do św. Maryi Magdaleny zauważono, że jej zdrowie nie jest wcale w dobrym stanie, ale na wszelkie pytania odpowiadała, że nie czuje żadnego utrudzenia.

Siły jednak powoli zanikały. Z początkiem maja zapadła na serce i zapalenie oskrzeli płuc; skoro tylko położyła się do łóżka, oświadczyła, że już zdrową nie powstanie.

Lekarze uznali chorobę za śmiertelną. Troskliwe pielęgnowanie nic nie pomagało, a im dalej choroba postępowała, tem radość chorej była większą, że już niedługo pójdzie połączyć się z Boskim Oblubieńcem swej duszy; spełniało się pragnienie serca.

Stroskana rodzina czyniła wszelkie wysiłki, aby ją przy życiu utrzymać. Na ich gorące prośby pozwolili przełożeni na wywiezienie chorej do sanatoryum w Zakopanem, lecz ś. p. Siostra Zofia stanowczo odmówiła skorzystania z tego pozwolenia, nie chcąc ani przez jeden dzień znajdować się poza Zgromadzeniem, które tak pokochała.

We środę 5. czerwca wyspowiadała się po raz ostatni i otrzymała ostatnie olejem św. namaszczenie. Nazajutrz we czwartek za pozwoleniem J. Eksc. ks. arcybiskupa Bilczewskiego odprawiła się w infermeryi Najśw. Ofiara, podczas której nasza ukochana Siostra złożyła po raz pierwszy i ostatni śluby święte.

Po Komunii św. zaśpiewałyśmy dziękczynne „Magnificat". Cały dzień przepędziła chora w uniesieniach radości i wdzięczności za odebraną łaskę, radując się, że już idzie połączyć się z Boskim Oblubieńcem swej duszy, połączyć się na zawsze.

Pod wieczór otrzymała ostatnią absolucyę, poczem zaczęła chwilami zasypiać. Nadszedł piątek, Uroczystość Najsłodszego Serca Pana Jezusa, do którego chora miała szczególniejsze nabożeństwo, sławiąc Jego dobroć i miłość drobnymi wierszykami.

Około godziny wpół do 2 zrana otoczyłyśmy łóżko zasypiającej spokojnie ukochanej towarzyszki, przy świetle gromnicy odmówiłyśmy modlitwy za konających, a potem jej

ulubioną koronkę o Niepokalanem Poczęciu, podczas której czysta i niewinna duszyczka naszej drogiej towarzyszki rozłączyła się z ciałem, by powiększyć grono dziewic, śpiewających na cześć Baranka Bożego pieśń nieśmiertelną.

Smutek i żal głęboki pozostały po tej przedwcześnie zgasłej, a tak obiecującej towarzyszce naszej. Łagodzi je jedynie to silne przekonanie, że cieszy się ona już w niebie i oręduje za nami u Pana Boga. „Podobała się bowiem Bogu dusza jej i dlatego pokwapił się wywieźć ją“ (Sap. 4, 14) z tego padołu płaczu, by złożyć na jej skroniach koronę nagrody wiecznej.

Requiescat in pace.

Collectio Privilegiorum et Indulgentiarum Congregationis Missionis.

Supplementum.

1. Ad N. 121. *De facultate aliquoties dicendi missam Congregationi Missionis propriam, in omnibus oratoriis et ecclesiis Puellarum Charitatis.* — In omnibus Ecclesiis et Oratoriis Puellarum Charitatis, quilibet sacerdos Missam Congregationi Missionis propriam celebrare potest, diebus sequentibus: 1-mo 19. julii, S. Vincentii à Paulo. — 2-do Dom. II post Pascha, Translationis Reliquiarum S. Vincentii a Paulo. — 3-o 27. sept., Obitus S. Vincentii a Paulo. — (Greg. XVI, 14. maii 1833) — 4-to 20. dec., Patrocinii S. Vincentii a Paulo. (Pius X, 7. sept. 1903) — 5-to 17. feb., B. Francisci Clet, mart. (S. C. R., 24. nov., 1900) — 6-to 7. nov., B. Joan. Gabrielis Perboyre, mart. (Leo XIII, 13. nov. 1889) — 7-o 27. nov. vel 28, si Dom. I Adv. occurrat die 27, Manifestationis Imm. M. V. a S. Numismate. (Pius X, 2. dec. 1904).

2. Ad N. 122. *De concordia missae cum officio.* — Privilegium concessum 5. martii 1879, non fuit renovatum. *Ejus loco lege:* In ecclesiis parochialibus vel annexis et in oratoriis semipublicis Congregationi Missionis ab Episcopo concreditis etiam ad tempus, Nostri, imo et sacerdotes exteri, Calendarium Congregationis sequi tenentur. (Ex dec. S. C. R., 27. jan. 1905 et 15. dec. 1889).

3. Ad N. 134. — *De translatione festi Manifestationis Imm. V. Mariae.* — Quando festum Menifestationis Immaculatae V. Mariae a S. Numismate, die 27. nov. recolendum, impeditur occursu Dominicae Primae Adventus, in diem sequentem transferri valet, tanquam in sedem propriam, servatis rubricis. (S. C. R., 2. dec. 1904).

4. Ad N. 144. *De facultate cantandi unam Missam de requie, in ecclessis, ubi presbyteri C. M. Missiones peragunt. Ad dec.* — Ex declaratione S. C. R., quoties a presbyteris Congregationis Missionis, de Ordinariorum consensu, Sacrae Missiones in quibuslibet ecclesiis peraguntur, cantari inibi valet unica Missa de Requie pro animabus defunctorum, postrema die earundem Missionum, vel alia die deligenda, etiam occurrente Officio duplici, dummodo non occurrat duplex I vel II Classis, festum de praecepto servandum, Feria, Vigilia vel Octava quae sint ex privilegiatis, servatis rubricicis. (2. Martii 1906).

5. Ad N. 167. *De confessione Nostrorum.* — Ex responsione S. Cong. Episcoporum et Regularium, die 11 dec. 1903, „Alumni Congregationis Missionis valide confiteri possunt penes quemlibet Confessarium ab Ordinario approbatum".

6. Ad N. 216. *De translatione festorum dup. I et II Clas.* — Ex Rescripto Sac. Rituum Cong. Festa sive Officia I vel II Classis, quoties in propria sede impedita occurrunt, in primam diem respective sequentem transferri possunt, Officio duplici minori ad ritum simplicem redacto, ad instar Rubricae reformatae quae habetur in festo Pretios. Sanguinis D. N. J. C., Dom. I Julii. (2. Martii 1907).

7. *De facultate commutandi officium in alias preces.* — Ex comm. cum Soc. Jesu, Missionarii habent potestatem „recitandi rosarium vel alias preces, si breviarium secum deferre non poterunt, vel divinum Officium, ob aliquod legitimum impedimentum, recitare non valent." (Leo XII. *Plura inter,* XII).

8. Ad N. 303. *De indulgentia plenaria, diebus Inventionis et Exaltationis SS. Crucis.* — Per Rescriptum ad presbyteros Cong. SS. Redemptoris, „Pius Papa IX... omnibus utriusque sexus Christifidelibus vere poenitentibus, confessis ac sacra communione refectis, qui in festis Inventionis ac Exaltationis SS. Crucis, vel in dominicis immediate sequentibus, unam ex crucibus in missionibus, ab ipsis presbyteris erectam, necnon aliquam ecclesiam seu publicum oratorium

devote visitaverint, ibique per aliquod temporis spatium, juxta mentem Sanctitatis suae, pie oraverint, indulgentiam plenariam, fidelibus quoque defunctis applicabilem, incipiendo a primis Vesperis usque ad occasum solis duorum praedictorum dierum, benigne concessit. Praesentibus in perpetuum valituris. (27. martii 1852. — *Ex Elencho Cong. SS. Redemptoris* p. 37, 38).

9. Ad N. 304. *De benedictione papali post Missiones et exercitia spiritualia.* — S. C. Indulgentiarum et SS. Reliquiarum concessit facultatem impertiendi benedictionem papalem cum indulgentiâ plenariâ in fine Missionum et spiritualium exercitiorum, omnibus fidelibus... dummodo saltem concionum medietati intervenerint. (14. dec. 1904).

10. Ad N. 305. *De benedictione papali post triduum.* — Ex concessione Pii X, 22. jun. 1906, in omnibus locis in quibus exercitia spiritualia congregatis fidelibus traduntur saltem per triduum, dari potest benedictio papalis cum annexâ indulgentiâ plenariâ lucrandâ ab iis tantummodo Christifidelibus qui rite confessi et sacrâ communione refecti fuerint et, tempore exercitiorum, quinque saltem conciones audierint.

11. N. 315 bis. *De facultate benedicendi coronam Viae Crucis.* — Ex concessione Pii X, 2. novemb. 1906, presbyteri Congregationis Missionis benedicere valent coronam specialiter confectam, cum applicatione indulgentiarum Viae Crucis. (*De ritu benedicendi,* Cf. Nro 318) — Haec corona comprehendit quatuordecim numismata Viae Crucis quatuordecim stationes representantia, et ab invicem tribus granulis separata. In fine coronae ponuntur granula sex, et ante primum numisma, granula tria. — Ad lucrandas indulgentias, 1-mo Ad singulas stationes dicitur Pater, Ave et Gloria tribus granulis interpositis: nempe Pater primo granulo, Ave alio, et Gloria tertio; 2-do Sex granulis finalibus, dicuntur sex Pater, Ave et Gloria; nempe quinque in Sacr. D. N. Jesu Christi Vulnerum memoriam, et unum juxta mentem Summi Pontificis. — (Tribus granulis initialibus, dicitur Pater, Ave et Gloria, in honorem SS. Agoniae D. N. Jesu Christi in Horto,

et unicuique numismati laudabliler fit aliqua meditatio: haec autem non sunt necessaria ad lucrandas indulgentias).

Supradictis conditionibus, indulgentiae Viae Crucis lucrari possunt tam pro vivis quam pro defunctis, quoties adest leve sed rationabile impedimentum adeundi, hic et nunc, locum in quo canonice erectae sunt stationes Viae Crucis.

12. Ad N. 327. *De benedictione Rosarii ad usum Puellarum Charitatis.* — S. Cong. Ind. et SS. Reliq. declaravit, die 8. maii 1900, Puellas Charitatis uti posse, ad recitandum Rosarium S. Dominici, Coronis S. Birgittae sex decadibus constantibus. Illas proinde Coronas benedicere valent sacerdotes Congregationis Missionis, cum aplicatione indulgentiarum SS. Rosarii.

13. Ad N. 348. *De scapulari B. M. Virgine a Monte Carmelo.* — 1-mo Ex declaratione S. Cong. Indulg. et SS. Reliquiarum sacerdotes Congregationis Missionis, qui facultate gaudent benedicendi et imponendi Scapularia B. M. V. de Monte Carmelo, *occasione tantummodo magni concursûs,* illa benedicere valent quin teneantur eadem singulis Christifidelibus imponere, omissâ etiam nominum inscriptione in Albo Confraternitatis. (13. junii 1906).

2-do In favorem Puellarum Charitatis et personarum in earum domibus habitantium, sacerdotes Cong. Missionis commutare valent in alia opera, recitationem Officii B. M. Virginis, jejunia et abstinentias quae requiruntur ad fruendum privilegio sabbatino. Hâc facultate uti possunt etiam in locis ubi habitant Patres Carmelitani. (28. jan. 1903).

Koronka drogi Krzyżowej.

Ojciec św. Pius X. coraz hojniej rozdaje łaski i przywileje duchowne. Otwarł skarbiec kościelny, udziela licznych odpustów i ułatwia ich nabycie. Pragnie bowiem, żeby zasługi Pana Jezusa obficie spływały na wiernych i żeby ci pod wpływem dobroczynnym nieba odmienili się w Chrystusie.

Obecnie jeden wielki przywilej dał Zgromadzeniu Ks. Ks. Misyonarzy, mianowicie tak zwaną „Koronkę drogi Krzyżowej". Oto krótka o niej wiadomość:

Pobożna zakonnica Alojza Borgiotti, współzałożycielka Sióstr Nazarenek (*Suore Nazarene*), które mają wielką cześć do drogi Krzyżowej, obmyśliła sobie łatwy i piękny sposób odbywania jej nawet wtedy, gdy nie będzie mogła obchodzić stacyi drogi Krzyżowej dla jakiejbądź przyczyny. Ułożyła koroneczkę specyalną i uprosiła Ojca św., że jej włożył na tę koronkę odpusty takie same, jakie zyskują ci, co rzeczywiście odprawiają drogę Krzyżową przez obchodzenie stacyi kanonicznie zaprowadzonych. Również Pius IX. nadał ten przywilej kardynałowi de Angelis. A obecny papież Pius X. obdarzył tąż łaską kardynała Richelmy, arcybiskupa w Turynie i księdza Emila Parodi, superyora Ks. Ks. Misyonarzy w Turynie, który teraz jest arcybiskupem w Sassari i prymasem Sardynii. Oceniając wielkość tego przywileju, pragnął ks. Jan Wincenty Tasso, asystent generalny Zgromadzenia Ks. Ks. Misyonarzy zdobyć dla Zgromadzenia swego tak cenną łaskę. Wniósł więc prośbę do Ojca św. i otrzymał ten przywilej dla wszystkich Misyonarzy. Oto tekst tej prośby:

Ojcze Święty! *)

Ks. Jan Wincenty Tasso, asystent generalny Zgrom. Ks. Ks. Misyonarzy, dyrektor arcybr. św. Konania zaprowadzonego w domu macierzyńskim Ks. Ks. Misyonarzy oraz wielu innych domach tychże Księży i Sióstr Miłosierdzia. — Ścieląc się do Stóp Waszej Świątobliwości, najpokorniej uprasza Świątobliwość Waszą, by rozszerzyć raczył władzę poświęcania i obdarzania odpustami *koronek drogi Krzyżowej* sługi Bożej Alojzy Borgiotti, współzałożycielki Sióstr Nazarenek, udzieloną już przez papieża Piusa IX. kardynałowi de Angelis — a przez Waszą Świątobliwość kardynałowi Richelmy oraz Superyorowi Misyi w Turynie — na prywatnej audyencyi, udzielonej dnia 4. kwietnia 1906 r. arcybiskupowi z Sassari, ks. Parodi.

A łaska Najwyższego.

Odpowiedziano: Udzielamy według osnowy podania.

Dnia 2. września 1906. *Pius X.*

Koronka Drogi Krzyżowej składa się z 14 medalików przedstawiających 14 stacyi drogi Krzyżowej. Między medalikami są po trzy ziarnka koronki; za ostatnim medalikiem jest ziarnek sześć, a przed pierwszym są trzy ziarnka.

---

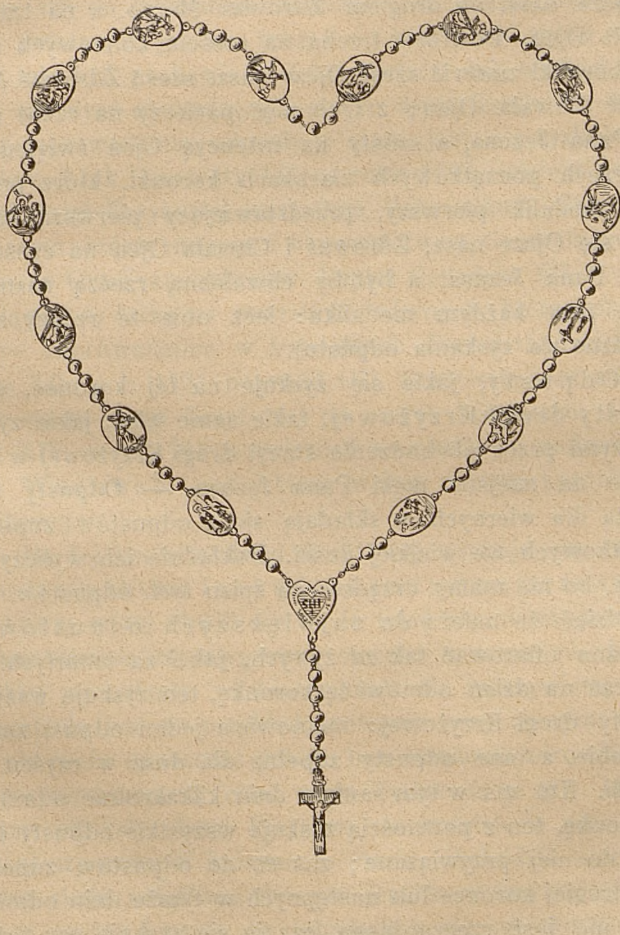
*) Beatissimo Padre!

Giovanni Vinzenzo Tasso, Assistente Generale della Congregazione della Missione, Zelatore dell' Arciconfraternità della Santa Agonia di Gesù nell' Orto, stabilita nella Casa Madre di Parigi e in Molte Case de' Missionari e delle Figlie della Carità, prostrato al bacio del Sacro piede, supplica umilissimamente la Santità Vostra di estendere a tutti i Preti della Missione e a tutti i Direttori e Zelatori della Santa Agonia, la facoltà di benedire e indulgenziare la Corona della Via Crucis della Serva di Dio Luigia Borgiotti Confondatrice delle Suore Nazarene facoltà gia concessa dal S. Padre Pio IX al Cardinal de Angelis, e da Vostra Santità Stessa al Cardinal Richelmy e al Superiore della Missione di Torino, nell' Udienza privata conceduta al Monsignor Parodi, Arcivescovo di Sassari, il 4. Aprile 1906.

Che nella Grazia ecc.

Juxta preces in Domino

Die 2 Septembris 1906. *Pius P. P. X.*



Sposób odmawiania tej koronki jest następujący: Trzeba najpierw przy każdej stacyi, czyli tu przy każdym medaliku, odmówić 1 Ojcze nasz, 1 Zdrowaś Maryo i 1 Chwała Ojcu. Mianowicie na pierwszem ziarnku mówi się Ojcze nasz, na drugiem Zdrowaś Maryo, a na trzeciem Chwała Ojcu. Powtóre trzeba na sześciu końcowych ziarnkach koronki zmówić sześć Ojcze nasz, sześć Zdrowaś Maryo i sześć Chwała Ojcu; z tych pięć pacierzy na cześć pięciu ran Pana Jezusa, a szósty na intencyę Ojca świętego. — (Na trzech początkowych ziarnkach koronki, które poprzedzają medalik pierwszy, przedstawiający pierwszą stacyę, mówi się Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu na cześć Konania Pana Jezusa, a byłoby chwalebną rzeczą rozmyślać trochę przy każdym medaliku: lecz obie te rzeczy nie są konieczne do zyskania odpustu).

Odpusty, jakie się zyskuje na tej koronce, są to odpusty drogi Krzyżowej, takie same więc, jakie zyskują pielgrzymi przez obchodzenie stacyi drogi Krzyżowej w Jerozolimie na miejscu męki Pana Jezusa. — Odpusty te są zachętą dla wiernych, a składają się z odpustów zupełnych i cząstkowych we wielkiej ilości. Dokładnie ich wyliczyć nie można, bo nie mamy urzędowego spisu tych odpustów. Dość powiedzieć, że należą do największych odpustów i że je można ofiarować tak za żywych, jak i za umarłych. Kto więc raz na dzień odmówi tę koronkę, ten zyskuje wszystkie odpusty drogi Krzyżowej: mianowicie jeden odpust zupełny dla siebie, a inne odpusty zupełne dla dusz w czyścu cierpiących. Kto zaś w tym samym dniu kilkakrotnie odmówiłby tę koronkę, ten z pewnością zyskuje wszystkie odpusty cząstkowe do niej przywiązane; zaś co do odpustów zupełnych przy drugiej koronce lub następnych w tymże dniu odmówionych, nie jest rzeczą jasną, czy je się zyskuje czy też nie.

Papieże zawsze pragnęli ożywiać nabożeństwo do Męki Pańskiej w sercach wiernych. Boć przecie nabożeństwo to jest najdawniejszem, najpobożniejszem i najświętszem nabożeństwem; jest matką i królową wszelkich nabożeństw, jak

powiada pięknie św. Leonard z Portu Mauritio. Ono tak potężnie działa na serca ludzkie i woła: Patrzcie ludzie — obaczcie, czy jest miłość jako miłość Zbawiciela ku nam! Przedewszystkiem dawali papieże liczne łaski duchowne tym, którzy szli do Jeruzalem rozważać i obchodzić mękę Zbawiciela świata. A potem, żeby i ci, którzy nie mogą tam się udać, nie byli pozbawieni dobrodziejstw tak wielkich, przyznali wiernym obchodzącym stacye drogi Krzyżowej kanonicznie zaprowadzone, odpusty te same, jakie się zyskuje w Jeruzalem. I tak Innocenty XII. w roku 1692. udzielił przywilej stacyi drogi Krzyżowej wszystkim Zakonnikom, Zakonnicom i wiernym, którzy stoją pod kierownictwem Generalnego przełożonego OO. Franciszkanów. Papież Benedykt XII. w r. 1726 rozciągnął tę łaskę na wszystkich wiernych, którzy obchodzą stacye zaprowadzone w kościółkach Franciszkańskich. Klemens XII. w r. 1731 pozwolił OO. Franciszkanom zaprowadzać stacye drogi Krzyżowej po innych kościołach. A Benedykt XIV. w r. 1741 potwierdził wszystkie te nadania.

W a r u n e k, pod jakiem wolno używać koronki drogi krzyżowej:

Na tej koronce drogi krzyżowej zyskuje się rzeczone odpusty gdy kto ma l e k k ą l e c z r o z u m n ą p r z e s z k o d ę, dla której w tej chwili nie może udać się na miejsce, gdzie są kanonicznie zaprowadzone stacye. A zatem nie potrzeba wielkiej przeszkody, wystarczy mała ale rzeczywista. Wielką przeszkodą jest na przykład czuwanie przy chorym, lub gdy kto nie może opuszczać pokoju bez narażenia zdrowia swego. Przyczyną rozumną choć małą będzie n. p. gdy kto chce zyskać odpusty drogi krzyżowej w kościele w czasie mszy lub nieszporów, w którym to czasie obchodzić stacye jest rzeczą dość uciążliwą, bo nie jest to w zwyczaju, zwraca uwagę ogólną i przez to odrywaliby się niejako wierni od wspólnego nabożeństwa. Można odmawiać tę koronkę w czasie podróży; słowem w każdej chwili wolnej, w której nie można z ł a t w o ś c i ą udać się na miejsce stacyi drogi Krzyżowej.

W ł a d z ę p o ś w i ę c a n i a koronek drogi krzyżowej mają: najpierw wszyscy księża Misyonarze św. Wincentego a Paulo a powtóre księża Dyrektorowie i zelatorzy arcybractwa św. Konania Pana Jezusa. Ci wszyscy mogą je poświęcać i obdarzać odpustami drogi krzyżowej dla wszystkich bez wyjątku wiernych.

S p o s ó b p o ś w i ę c a n i a i nadania odpustów polega na uczynieniu znaku krzyża świętego nad temi koronkami. Poza tem nie potrzeba żadnego innego rytu wykonywać.

Oto krótka wiadomość o tym wielkim przywileju. Oby cześć do Męki Pańskiej, wzrosła pod jego wpływem wśród nas*).

---

*) Konfratrzy ze Stradomia w Krakowie poczynili starania o wybicie pięknych medalików stacyjnych z polskimi napisami, oraz zajęli się wyrobem tych koronek; najdalej za miesiąc będą gotowe do nabycia we wszystkich domach Ks. Ks. Misyonarzy, zwłaszcza w domu centralnym na Kleparzu.

Zmarli Misyonarze:

Ks. Aleksy Avernka, 12. grudnia w Bejrucie, żył lat 79, w Zgromadzeniu 52.
Ks. Piotr Chieco, 24. grudnia w Osia (pr. Neapol), żył lat 78, w Zgromadzeniu 63.
Br. Jan Franko, 19. grudnia w Savonie, żył lat 71, w Zgromadzeniu 53.
Br. Jakób Obrador, 26. grudnia w Barcelonie, żył lat ? w Zgromadzeniu 3.
Br. Jan Broutin, 18. stycznia w Paryżu, żył lat 79, w Zgromadzeniu 10.
Ks. Antoni Mirone, 19. stycznia w Katanii (pr. Neapol), żył lat 72, w Zgromadzeniu 14.
Ks. Natalis Chen, 20. stycznia w Smyrnie, żył lat 78, w Zgromadzeniu 47.
Br. Sylwester Machinena, 31. stycznia w Lagunie (Madryt), żył lat 27, w Zgromadzeniu 6.
Br. Piotr Vixes, 4. lutego w Toursainte, żył lat 80. w Zgromadzeniu 58.
Ks. Alfons Zangritto, 21. lutego we Florencyi, żył lat 39, w Zgromadzeniu 22.
Br. Franciszek Perucci, 25. lutego w Neapolu, żył lat 74, w Zgromadzeniu 54.
Ks. Józef Delarozière, 4. marca w Paryżu, żył lat 55, w Zgromadzeniu 30.
Br. Hieronim Grosso, 2. marca w Paredes de Nava, żył lat 58, w Zgromadzeniu 42.
Ks. Bernard Ruggiero, 6. marca w Neapolu, żył lat 90, w Zgromadzeniu 72.
Ks. Jan Claverie, 2. marca w Onito, żył lat 77, w Zgromadz. 48.
Br. Antoni Del Rio, 6. marca w Madrycie, żył lat 69, w Zgromadzeniu 45.
Ks. Juliusz Desmarescaux, 16. marca w Paryżu, żył lat 44, w Zgromadzeniu 21.
Br. Tymoteusz Daly, 2. marca w Germantown, żył lat 80, w Zgromadzeniu 41.

Ks. Michał Simonetti, 20. marca w Placencyi, żył lat 33, w Zgromadzeniu 10.
Ks. Piotr Gibert, 28. marca w Paryżu, żył lat 78, w Zgromadz. 57.
Ks. Jan Régnier, 25. marca w Konstantynopolu, żył lat 89, w Zgromadzeniu 66.
Ks. Wilhelm Vila, 2. kwietnia w Madrycie, żył lat 58, w Zgromadzeniu 41.
Ks. Franciszek Mieville, w maju na Madagaskarze, żył lat 51, w Zgromadzeniu 32.
Ks. Emil Boury, w maju w Bejrucie, żył lat 63, w Zgromadz. 36.
Br. Maryan Corillo, 11. maja w Madrycie, żył lat 78, w Zgromadzeniu 56.
Ks. Aristides Poupart, 15. maja w Liège, żył lat 60, w Zgromadzeniu 36.
Ks. Antoni Paccaquelli, 19. maja w Turynie, żył lat 63, w Zgromadzeniu 23.
Ks. Franciszek Plum, 22. maja w Theux, żyl lat 26, w Zgromadzeniu 9.
Br. Józef Donelli, 19. maja w Mondovi, żył lat 74, w Zgromadzeniu 58.

Siostry Miłosierdzia:

S. Cecylia Wiśniewska, 2. lutego w Sądowej Wiszni, żyła lat 46, w Zgromadzeniu 26.
S. Karolina Smolińska, 7. marca w Domu centralnym, żyła lat 69, w Zgromadzeniu 51.
S. Elżbieta Zamelczak, 8. marca w Domu centralnym, żyła lat 41, w Zgromadzeniu 22.
S. Józefa Schiller, 28. marca w szpitalu św. Wincentego we Lwowie, żyła lat 77, w Zgromadzeniu 51.
S. Marya Łęgowska, 12. kwietnia w domu św. Maryi Magdaleny we Lwowie, żyła lat 38, w Zgromadzeniu 17.
S. Zofia Skibicka, 7. czerwca w domu św. Maryi Magdaleny we Lwowie, żyła lat 25, w Zgromadzeniu 2.
S. Marya Pilaczyńska, 10. czerwca we Lwowie, żyła lat 50, w Zgromadzeniu 25.

R. I. P.

Kraków, drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.